Z BLISKA I Z DALEKA



geografia
krajoznawstwo
podróżnictwo

TREŚĆ

ARTYKUŁY

Granice Polski z Węgrami. — Wzdłuż i wszerz po Estonii. Cz. III. W centrum prawosławia estońskiego. — Obrazki z Holandii współczesnej. Cz. II. — Siewierz — dawna stolica księstwa siewierskiego. — Kościół pod wezwaniem św. Anny w Zaklikowie. — Warunki życiowe w północnej Rodezji.

MŁODY KRAJOZNAWCA

Tatry.

PROPORCJE GEOGRAFICZNE

Bilans urbanistyki w woj. krakowskim za lata 1880–1931.

ZAPISKI

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

ŚWIAT NA SREBRNYM EKRANIE

LWÓW KWIECIEŃ – MAJ 1939

ROK VII

Nr 4–5 (62–63)

35 gr.

ZBLISKA I ZDALEKA

REDAGUJE KOMITET:

K. BRYŃSKI, H. HALICKA, J. HALICZER, M. JAROSIEWICZÓWNA, WŁ. KUDŁA, ST. LEGEŻYŃSKI, A. MALICKI, Z. PAZDRO, J. PIĄTKOWSKI, ST. PRZEŹDZIECKI, Z. SIMCHE, F. UHORCZAK, AL. ZGLINNICKA, WŁ. ZINKIEWICZ, AL. ŻARUK

ADMINISTRACJA: J. PĘPUS

ZBLISKA I ZDALEKA

UKAZUJE SIĘ RAZ W MIESIĄCU Z WYJĄTKIEM LIPCA I SIERPNIA

PRENUMERATA WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:
ROCZNA 3,— ZŁ, PÓŁROCZNA 1,60 ZŁ
KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr 501.002
Nr POCZTOW. PRZEKAZU ROZRACHUNKOWEGO: 57

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
LWÓW, ULICA KOŚCIUSZKI L. 9 III P.
ADRES DLA KORESPONDENCJI I PRZESYŁEK PIENIĘŻNYCH: LWÓW, SKRYTKA POCZTOWA 273

WARUNKI UMIESZCZANIA OGŁOSZEŃ:
cała str. 50 zł, 1/2 str. 25 zł, 1/4 str. 14 zł, 1/6 str. 10 zł, 1/8 str. 8 zł

NAJNOWSZE NUMERY „ZBLISKA I ZDALEKA“ można nabywać we Lwowie w następujących księgarniach:

1. KSIĘGARNIA — R. SCHWEITZER, ul. Batorego 26.
2. KSIĘGARNIA MAŁOPOLSKA — ul. Akademicka 18.

Miesięcznik „ZBLISKA I ZDALEKA“ zatwierdzony został do użytku bibliotek uczniowskich w gimnazjach i liceach ogólnokształcących pismem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Nr II. Pr. 1270, z dnia 26. września 1938 roku.

ORLICZ MICHAŁ (Lwów)

Granica Polski z Węgrami [1]

Z dawna oczekiwany, radosny fakt uzyskania przez Polskę wspólnej granicy z Węgrami nastąpił z początkiem drugiej połowy marca br., kiedy to pierwsze oddziały wojska węgierskiego stanęły na granicy polskiej na przełęczach karpackich. W ciągu kilku następnych dni kolejno objęły wojska i władze węgierskie w posiadanie resztę obszaru dawnej Rusi Podkarpackiej [2], włączając go do Węgier. W ten sposób Polska uzyskała nowego sąsiada na południu, powiększając ich liczbę wzdłuż swej granicy karpackiej do czterech (Rumunia, Węgry, Słowacja i Niemcy w obrębie Protektoratu Czesko-Morawskiego).

Początkowo po objęciu Rusi Podkarpackiej przez Węgry miejsce zetknięcia się granicy Polski, Słowacji i Węgier leżało na szczycie Wielkiej Rawki (1303 m n. p. m.), położonym w głównym, granicznym pasmie Bieszczadów Zachodnich około 25 km na półn.-zachód od Sianek. W pierwszych dniach kwietnia, na skutek akcji Węgier, Słowacja odstąpiła im pas terytorium o szerokości średnio 20 km, przez co granica Polski z Węgrami wydłużyła się o około 33 km. Obecnie punkt trójgraniczny polsko-węgiersko-słowacki leży na szczycie góry Czerenin (935 m). Góra ta wznosi się około 2 km na południ.-zachód od wsi Solinka, położonej nad dopływem Sanu tej samej nazwy, na zachodnim krańcu Bieszczadów, niedaleko miejsca, w którym przyznano Polsce w październiku ub. r. skrawek terytorium o powierzchni 1 km^2, zabezpieczający trasę kolei wąskotorowej Nowy Łupków — Cisna. Sama góra Czerenin nie przedstawia z punktu widzenia turystycznego nic interesującego. Jest to nie wysoki i krajobrazowo nieciekawy wał górski, zalesiony od strony polskiej, północnej, a pokryty pastwiskami od strony południowej, węgiersko-słowackiej. Z Czereninu granica węgiersko-słowacka biegnie ku południowi działem wód na zachód od potoku Cziroka (dopływu Latorczy) aż do wsi Takcsány, tutaj przekracza Czirókę, wspina się na grzbiet pasma Vihorlat, z którego z kolei schodzi do potoku Halas (prawy dopływ Ungu) i wzdłuż niego wychodzi z Karpat na niziny około 18 km na zachód od Ungwaru.

Nowa granica polsko-węgierska pokrywa się zupełnie dokładnie z poprzednią granicą polsko-czechosłowacką na tym odcinku. Całkowita jej długość wynosi około 300 km, co stanowi ok. 33% dawnej granicy polsko-czechosłowackiej, a 5,5% całej nowej granicy Polski. Grani-

[1] Artykuł ten ukazał się również w „Wiadomościach Ziem Górskich" R. II, Nr 5.

[2] Obecnie urzędowa nazwa Rusi Podkarpackiej brzmi: Podkarpacie.

ca polsko-węgierska przypada dokładnie na Karpaty (Beskidy) Wschodnie, gdyż w okolicach Solinki przebiega granica między Bieszczadami Zachodnimi, należącymi jeszcze do Beskidów Wschodnich, a Bieszczadami Środkowymi, będącymi częścią naszych Karpat Zachodnich.

Ponieważ przebieg jej jest na ogół dokładnie znany, poprzestanę na wyliczeniu jedynie najważniejszych punktów. Z Czerenina granica biegnie na wschód pasmem wzniesionym średnio od 1000 do 1200 m n. p. m., zalesionym w zupełności lub pokrytym łąkami. Pierwszym wynioślejszym wzniesieniem jest Wielka Rawka (1303 m), po czym kilkanaście km dalej grzbiet Halicza (1335 m), Kińczyk Bukowski (1252 m), z którego granica schodzi do Przełęczy Użockiej (840 m) koło Sianek. Za Przełęczą Użocką granica wspina się na najwyższe z granicznych pasm Bieszczadów i krajobrazowo bardzo interesujące pasmo z kulminacją Pikula (Pikuja) 1406 m, po czym znów przewija się niskimi działami w obszarze źródliskowym Stryja i Oporu, poprzez przełęcz Tucholską (820 m) i przełęcz Beskid (960 m). Na wschód od tej przełęczy najważniejszym wzniesieniem w paśmie granicznym jest bezleśna Czarna Repa (1288 m), za którą granica schodzi do Przełęczy Wyszkowskiej (933 m). Tu zaczyna się gorgański odcinek granicy polsko-węgierskiej. Poprzez coraz to wyższe pasma, porosłe w zupełności wspaniałym lasem, granica otacza od południa źródliska Świcy, potem Łomnicy i jej lewego dopływu Mołody. Na Popadii (1742 m) i Koretwynie (1595 m) granica osiąga po raz pierwszy, idąc od zachodu, wysokie, zawalone głazami wierchy gorgańskie. Następnie przerzucając się przez niższe odcinki działu granicznego, przechodzi przez Busztuł (1693 m), Kieputę (1608 m), popod Gorgan (1611 m), Sywulę (1836 m), gdzie schodzą się obszary źródłowe dopływów Łomnicy, Bystrzycy Sołotwińskiej, Bystrzycy Nadwórniańskiej i Płajskiej, dopływu Tereszwy, Taupiszyrkę (1503 m) do Przełęczy Legionów (Rogodze Wlk., 1110 m). Za Rogodzami następuje długie, wysokie, z rozległymi połoninami pasmo Bratkowskiej, zwane też Czarną Połoniną (Gropa 1763 m, Bratkowska 1792 m, Steryszora 1723 m), na której ma swoje źródła Bystrzyca Nadwórniańska. W dalszym ciągu przez Douhę (1372 m) i niskie, zalesione tereny osiągą granica Przełęcz Tatarską czyli Jabłonicką (930 m), gdzie zarazem konwencjonalnie kończy się odcinek gorgański granicy, a zaczyna czarnohorski. Na tym odcinku polski skłon pasma granicznego odwadniany jest przez Prut i jego dopływy. Obszar źródłowy Prutu osiąga granica na głównym paśmie Czarnohory, na które z kolei przerzuca się poprzez Kukul (1540 m). Najwyższe szczyty Czarnohory, jak Howerla (2058 m), Breskuł, Dancerz, Turkuł (1932 m), Brebenieskul (2037 m), Czarnohora



Ryc. 34. Słup graniczny pod Munczelem w Czarnohorze.

czyli Pop Iwan (2022 m) z obserwatorium astronomiczno-meteorologicznym wznoszą się na nowej granicy polsko-węgierskiej. Pop Iwan jest odtąd najbardziej na wschód wysuniętym punktem Węgier. Z Popa Iwana jeszcze kilkunastokilometrowy odcinek granicy prowadzi wprost na południe na Stoh (Stóg) 1655 m, gdzie kończy się granica polsko-węgierska, stykając się z granicą Rumunii. Od Stohu granica węgiersko-rumuńska odgałęzia się na zachód, biegnąc pasmem Karpat Marmaroskich zgodnie z dawną granicą czechosłowacko-rumuńską.

Jeśli idzie o warunki komunikacji poprzez nową granicę, określić je można jako korzystne. Polska z Węgrami połączona jest trzema liniami kolejowymi, a mianowicie: Sambor — Sianki — Przełęcz Użocka — Ungwar, Stryj — Ławoczne — Beskid — Munkacz oraz Delatyn — Woronienka — Körösmezö (Jasina) — Rachó (Rachów). Z tych trzech linii większe znaczenie mają dwie pierwsze, trzecia, biegnąca przez Węgierską Ruś doliną górnej Cisy, zamknięta od zachodu wyniosłymi pasmami poprzecznymi a od południa granicą rumuńską, ma tylko znaczenie lokalne dla połączenia Polski z Węgrami, zachowując natomiast w zupełności swe znaczenie tranzytowe między Rumunią a Polską. Dwie pierwsze linie, zbiegające się po stronie polskiej we Lwowie, a po węgierskiej w stacji węzłowej Czop, stać się winny głów-



Ryc. 35. Przełęcz Jabłonicka (Tatarska) w Czarnohorze.

nymi arteriami, o pierwszorzędnym znaczeniu dla obu krajów. Przez linie te powinien skierować się cały nasz ruch kolejowy nie tylko do Węgier, ale także do zachodniej Rumunii i państw bałkańskich i na odwrót, tędy powinny iść transporty z tych krajów do Polski i portów jej obszaru celnego.

W związku z tym narzucałaby się sprawa budowy krótkiego (15 km) odcinka kolei Stary Sambor — Chyrów, celem skrócenia drogi z linii Samborskiej, przez Przemyśl, Sandomierz, Radom do Warszawy i dalej do Bałtyku.

Połączeń gościńcowych z Węgrami mamy w tej chwili sześć. Wymieniamy je od zachodu: Z Leska przez Baligród, Liszną do Takscány i Satoralia Ujhely, z Turki przez Przełęcz Użocką, doliną Ungu do Ungwaru, ze Skolego przez Przełęcz Tucholską doliną Latorczy do Munkacza, ze Skolego przez Ławoczne, Beskid drogą licho utrzymaną po polskiej stronie z nawiązaniem po stronie węgierskiej do drogi poprzedniej, z Doliny przez Przełęcz Wyszkowską, doliną Agi do Husztu i z Delatyna doliną Prutu, Przełęcz Tatarską do doliny Cisy. Nasuwałaby się konieczność budowy jeszcze innych połączeń drogowych w znaczeniu turystycznym i gospodarczym, jak np. z Rafajłowej przez Przełęcz Legionów do doliny Tereszwy, która to droga przecięłaby najdłuższy odcinek pozbawiony komunikacji drogowej poprzez gra-

nicę, oraz z Szybenego nad Czarnym Czeremoszem przez przełęcz pod Stohem do doliny Białej Cisy, jako drogi o wybitnym znaczeniu turystycznym.

Z osiągnięciem wspólnej granicy z Węgrami wiąże się kwestia nowej konwencji turystycznej. Jak wiadomo, od 1925 r. obowiązywała umowa z Czechosłowacją, na podstawie której turyści polscy na prawach wzajemności mogli zwiedzać najpiękniejsze obszary Wschodnich Karpat po drugiej stronie granicy. Obecnie konwencja ta została zawieszona. Powinno być troską naszych oficjalnych czynników turystycznych, by konwencję tę teraz odnowić z naszym nowym sąsiadem. Pożądanym byłoby przy tym rozszerzyć jej zasiąg terytorialny tak, by objęła wszystkie interesujące turystów tereny w Węgierskich Karpatach. Do terenów tych zaliczyć należy wulkaniczne pasmo Wihorlatu, w Bieszczadach Węgierskich grupę Połoniny Równej (1482 m) na południe od Przełęczy Użockiej i pasmo Borżawy z najwyższym w Bieszczadach szczytem Stoh (Stoj) 1679 m, w Gorganach grupy Dołhej (1723 m) i Negrowca (1712 m) i okolice łatwo z Przełęczy Wyszkowskiej dostępnego, niezwykle malowniczego jeziora pod Ozirnym (1500 m), całe pasmo Świdowca z najwyższym szczytem Bliźnica (1883 m) a wreszcie całą dolinę Cisy w obrębie Karpat i położone na wschód od niej południowe zbocza Czarnohory i północne Karpat Marmaroskich.

KLEIN KAROL (Lwów)

Wzdłuż i wszerz po Estonii [1]

III.

W CENTRUM PRAWOSŁAWIA ESTOŃSKIEGO

Zaczyna się zupełnie zwyczajnie, w zgodzie z europejskim szablonem. Na dworcu w Petseri, oddalonym o kilka kilometrów od miasteczka, oczekuje przybyszów autobus, pełniący stale służbę komunikacyjną między linią kolejową a rynkiem miejscowości. A gdy po kilkunastu minutach przejeżdża się przez ulice miasteczka — lekkie rozczarowanie budzą niewielkie, lecz nowoczesne budynki rządowe, hotele, z których jeden obrał sobie nawet dość pretensjonalną nazwę w spadku po francuskim mężu stanu „Briand". Jest właśnie sobotni wieczór, koniec tygodnia pracy. Po ulicach, jak zwykle w Estonii dobrze wybrukowanych, przechadzają się letnicy, których tu podobno jest sporo, ale uwagę zwracają przede wszystkim ludzie o fizjogno-

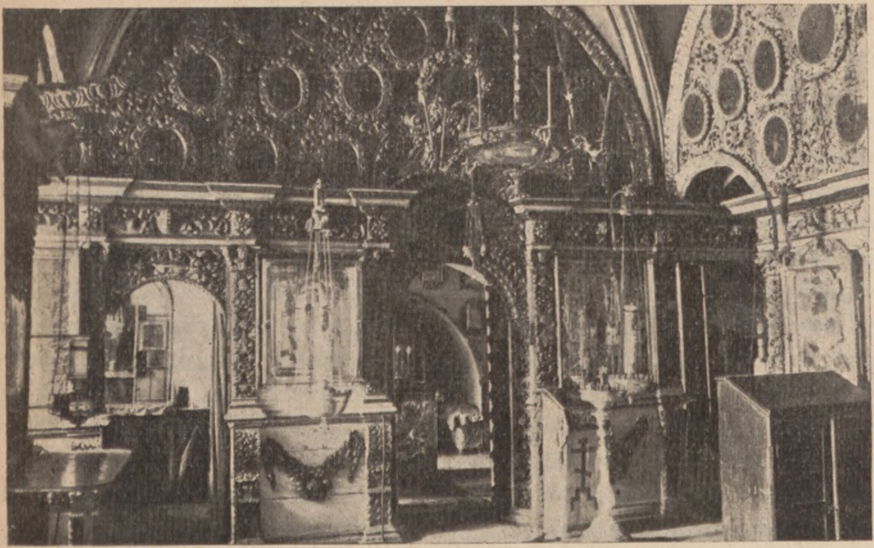
[1] Por. „Zbliska i Zdaleka", listopad 1938 i luty 1939.



Ryc. 36. Na dziedzińcu klasztornym w Petseri.

miach poza tym w Estonii rzadko spotykanych. Stoją grupkami na chodnikach, opierają się plecami o mury parterowych domów, a sądząc z mowy, ubioru, z całego wyglądu, można by ich uważać bez zastrzeżeń za Rosjan. Aby zaś to środowisko o cechach rosyjskich mogło tym plastyczniej wystąpić — w restauracji „Pod czarnym kotem“ przygrywa hałaśliwie na bałałajkach i przyśpiewuje głosami prawie że „kozaków dońskich“ orkiestra, jakby żywcem wzięta z jakiegoś filmu amerykańskiego o dawnej carskiej Rosji. Nawet kelner, gdy się niby pomyli w rachunku, nie zaklnie po estońsku „kurat“, ale właśnie po rosyjsku odwoła się do „czorta“. Czyżby więc ziemia ta miała być skrawkiem rdzennej Rosji, odciętym od wschodniego sąsiada granicą, biegnącą stąd w odległości około 20 kilometrów na wschód? Czyżby zachował się tutaj, w południowo-wschodniej części protestanckiej Estonii, jakiś rezerwat rosyjskości z brodatymi mużykami, z chandrą zabijaną odurzającymi trunkami aż do eteru włącznie, z cerkwiami i z całym jaskrawym, rozdzwonionym i rozmodlonym prawosławiem?

I tak i nie. Ostatnie tysiąclecie stworzyło na tej ziemi zwanej Setumaa dziwny konglomerat ras, religii, obyczajowości, kultury ludowej, stanowiący nie tylko dla przybyszów z zagranicy ale i dla Estończyków wytwór historyczny pod każdym względem ciekawy. Zrazu mieszkali tu Estowie, a gdy w wieku XIII z północy i południa do kraju pogańskich Estów zaczęły wnikać wraz z przemocą militarną



Ryc. 37. Wnętrze najstarszej cerkwi w Petseri.

Duńczyków i Niemców pierwiastki kultury zachodnio-chrześcijańskiej — przeciwstawił się tej inwazji germańskiej świat wschodni, słowiański, obwarowujący się na tym terenie nie tylko dochowanymi do dzisiaj murami Irboski, ale i stałą penetracją dążeń politycznych, prawosławia, obrzędowości, języka. Tak więc grożący pochód żywiołu germańskiego spowodował rusyfikację ludu pochodzenia ugro-fińskiego, bo do tej właśnie rodziny należą Estończycy obok Węgrów, Finów i Lapończyków. Bieg historii pokrywał tę ziemię warstwami kultury rosyjskiej, przygarniał do świata słowiańskiego tubylców rasowo bardzo odmiennych, ale gdy badacz istotnych cech i kultury pierwotnych Estów pragnie przeniknąć do najgłębszych pokładów tej kultury, to przyjedzie właśnie de Setumaa, gdzie pod powłokami rosyjskości może dogrzebać się bijącego do dzisiaj serca dawnych, pogańskich mieszkańców tej krainy.

Na codzień jednak i od święta toczy się tutaj życie na modłę dawnorosyjską. W niedzielę w godzinach rannych dzwonią dzwony w licznych cerkwiach, a pobożność prowadzi ludzi miejscowych do najczcigodniejszych miejsc w Petseri, do świątyń dawnowiecznych, bo jeszcze z wieku XV wywodzących swój początek. Skupiły się one wraz z klasztorem, katakumbami, seminarium duchownym na rozległym obszarze, otoczonym murami tak potężnymi, że i wojskom Stefana Batorego mogły one stawić skuteczny opór w r. 1581, kiedy to 300

mnichów wraz z ludnością okoliczną broniło się zwycięsko przez trzy miesiące.

A historia tego miejsca jest doprawdy niezwykła. Wkrótce po nawróceniu Pskowa na wiarę chrześcijańską zamieszkał tutaj eremita Marek, do którego dołączyła się następnie gromadka wiernych. To bractwo klasztorne rozszerzyło istniejącą już naturalną jaskinię w czerwonym piaskowcu dewońskim, z którego jest utworzona dolina potoku Kamionki, wygrzebano 7 podziemnych chodników, szerokich przeciętnie na półtora metra a w sumie długich na 200 metrów, by stworzyć tutaj mieszkanie dla żywych, przybytek dla kontemplacji przy licznych bizantyńskich ołtarzach a zarazem cmentarz dla zmarłych. I od tej chwili po dzień dzisiejszy, choć ludzie żywi mieszkają już gdzie indziej, a modły przeniesiono do świątyń na powierzchni ziemi zbudowanych — katakumby te są miejscem pośmiertnego spoczynku zmarłych, grzebanych w ścianach piaskowcowych w nagrodę za życie samotnicze i ascetyczne, za pobożność lub zasługi dla klasztoru położone. W ciągu wieków pochowano tu około 5 tysięcy zmarłych. W jednym kącie przejmujący widok: u dołu w ścianie do połowy wygrzebany otwór, dwaj mnisi kopią tu rękami wspólny dla siebie grób. A obok w zupełnym mroku, rozświetlonym słabo płomykami świec woskowych, przed okazałą płytą nagrobną kwitną w doniczkach hortensje, zdobiące grób żony Dymitra Smirnowa, znakomitego śpiewaka, które zwłoki zostały tu złożone przed półtora rokiem w nagrodę za opiekę nad klasztorem.

Drugą osobliwością architektoniczną jest cerkiew, wygrzebana również w piaskowcu w roku 1473. Wnętrze tej jaskiniowej katedry opiera się na 13 filarach, obłożonych podobnie jak ściany cegłami. Ciemno tu i cicho, tylko w świetle nielicznych świec migocą złotem i srebrem wspaniałe ikony, tylko gdzieś w kącie zamajaczy czarna sylwetka mnicha, bijącego pokłony przed obrazem.

Dalsza wędrówka po dziedzińcach i zabudowaniach klasztoru odsłania zupełnie inną stronę tego zawsze dziwnego rezerwatu rosyjsko-estońskiego prawosławia. Ponure ciemności katedry i grobów zapadają w niepamięć, gdy lipcowe słońce oświetla jaskrawym reflektorem teatralny przepych tła dekoracyjnego, przez które przebiegają, wloką się starczym krokiem długowłose, brodate postacie mnichów. Jest to widowisko zasługujące w całej pełni na miano teatralnego. Malarskość głównej cerkwi, osadzonej na tej najstarszej, wygrzebanej w piaskowcu, polega przede wszystkim na tym, że kolorystycznie najsilniejsza jej część a więc kopuły są naprawdę malowane. Olbrzymie banie mają u nasady wymalowane obrazy i czarne okna w różowych

ramach, a w głównej swej części ciemnieją mocną ultramaryną, zarzuconą złotymi gwiazdami. Całość wygląda faktycznie jak efektowna, nieco skrzywiona dekoracja do jakiegoś orientalnego widowiska, dostosowana raczej do sztucznego światła teatru niż do pełni słonecznego blasku. I jest jeszcze drugi powód, dlaczego spędzając dzień cały w tym klasztorze odczuwa się pewną teatralność w niektórych przejawach życia i pracy klasztoru. Atrakcyjność turystyczna Petseri musiała narzucić skupionemu życiu zakonników wymagania komercjalizacji, mącącej bez wątpienia religijną atmosferę tego miejsca. Zakrawa to na nieszczerość, naruszenie jednolitego stylu i rozbieżność między imponującą stroną zewnętrzną o charakterze dewocyjnym a nurtem handlowości, wyczuwanym w kilku — jak się zdaje znamiennych — wypadkach. Sklepik przy klasztorze, prowadzony przez jednego z braciszków, obfituje w różne mniej lub więcej niegustowne pamiątki z Petseri, a wśród doskonałych zresztą pocztówek nie brak fotografij wszystkich zakonników i masowo sporządzanych reprodukcyj tych obrazów, które wolałoby się widzieć tylko w głębi katedry, owiane zapachem kadzideł. Ów zakonnik zaś, który w rozmowie z przybyłymi gośćmi spuszcza oczy ku ziemi, pełni z wielką wprawą obowiązki kasjera, sprzedającego bilety wstępu do katakumb. Kto wie zresztą, może jest on jednym z tych mnichów, którzy kopią sobie grób w podziemiach? Wszystko tutaj jest dziwnością w religijnym życiu surowej, protestanckiej Estonii, kolorową wyspą, rzuconą na jednostajną powierzchnię morza. Czemużby więc i w murach klasztoru nie miała bujnie rozrastać się niezwykłość?

STAŚKO JÓZEF (Siemianowice Śl.)

Obrazki z Holandii współczesnej

II.

Kto chce podróżować po Holandii, wybiera sobie jako środek lokomocji kolej, tramwaj albo statek, gdziekolwiek się obróci, bo wszędzie komunikacja ta jest rozwinięta. Ruch autobusowy w tym kraju jest mniej rozwinięty niż np. we Francji czy Anglii, chociaż Holandia posiada wspaniałe drogi asfaltowe i motoryzacja znajduje się tu w rozkwicie.

Cała zachodnia Holandia jest pokryta gęstą siecią linii tramwajowych, dzięki którym można bardzo prędko poznać wiele miejscowości pokolei, nie męcząc się zbytnio. Kto ma więcej czasu, jedzie o wie-

le tańszym statkiem, którym dzięki licznym kanałom łączącym różne miasta ze sobą można wszędzie się dostać. Kolej jest droga i podróżuje się nią tylko na dalsze przestrzenie, za to bardzo wygodnie i szybko.

Popatrzmy na mapę Holandii i wybierzmy się na kilka wycieczek z Amsterdamu. Przy pomocy tramwaju zwiedzimy takie ciekawe wsie,



Ryc. 38. Przyglądają nam się ciekawie dziewczęta w barwnych strojach ludowych.

Fot. autor.

jak Muiden, Sloten, Broek, Monikendam, Vollendam, czy Purmerend, dalej miasta Zaandam, Hilversum, Haarlem, Lejdę, Alkmar, a nawet Hagę. Aby jednak sobie urozmaicić te wycieczki, pojedziemy też statkiem, przynajmniej do Alkmaru. Jak to? Przecież Alkmar nie leży nad morzem, ani nad żadną rzeką! Z Amsterdamu jednak można pojechać tam okrętem, bo od rzeki Zaan wiedzie tam wygodny kanał Północny, wybudowany aż do Helderu. Dawne zatoki morskie zostały osuszone i zachowały się z nich nieduże jeziora, przez które przejeżdża się wykopanym kanałem.

Jedźmy najprzód do niezwykłych wiosek rybackich, do Vollendam i Marken, których nie opuszcza żaden turysta zagraniczny, ze względu na zachowane stroje ludowe, sławne dziś na całym świecie.

Trzydzieści kilometrów, dzielące nas od Amsterdamu, przebywamy dzięki sile elektrycznej w niecałą godzinę i już toniemy po uszy w ni-

derlandzkiej swojszczyźnie, wśród ludu rybackiego, wystrojonego jakby na jakieś uroczyste święto. Zdaje nam się, że ci wszyscy ludzie ubrali się tak umyślnie dla turystów, a oni tak się ubierają codziennie. Zachwycamy się naszą góralszczyzną czy huculszczyzną, podziwiamy Dalekarlię w środkowej Szwecji albo Tyrol, Bawarię południową, Arkadię grecką i Pusztę węgierską dla oryginalnych i artystycznych strojów tych różnych krain geograficznych, ale nic nie wiemy o wyspie etnograficznej w samym sercu cywilizacji zachodnio-europejskiej, o niezwykle strojnym ludzie rybackim we Vollendam i Marken.



Ryc. 39. Zmarszczkami pokryta twarz staruszki kryje się pod koronkami czepka.
Fot. autor.

Przed każdym człowiekiem, młodym czy starym, trzeba przystanąć, by móc obejrzeć ten niemożliwie barwny strój, podobny do scenicznego, pokazowego.

Wyobraźmy sobie na przodzie koszuli haftowane kwiaty, duże liście i różne wzory geometryczne, połączone razem ze sobą w jeden jaskrawy deseń, pokrywający nieraz cały gors aż po ramiona i pas. Dokoła tych haftów niezwykle delikatnej roboty i żmudnej pracy wielu wieczorów wyginają się we fantastycznych wstęgach i skrętach śnieżnobiałe koronki. Czepki u starych kobiet złożone też z koronek posiadają sztywne rogi sterczące na boki. Szerokie, bufiaste spodnice sięgające niemal do samej ziemi są także różnokolorowe, często jaskrawe i sprzeczne z kolorami bluzki i haftów na piersiach, a na tej spodnicy migotają w tęczowych barwach fartuszki z koronkami i haftami, zawieszone jedne na drugie coraz to mniejsze. Gęste pukle jasnych jak len włosów i długie grzywki zakrywające czoła wysuwają się spod barwnych chustek zapiętych w tyle. Na nogach grube pończochy i drewniane chodaki, rozlegające się głośnym echem po każdym kroku na ceglanym bruku, uzupełniają ten piękny strój.

Mężczyźni są ubrani mniej oryginalnie. Wąskie kurtki i bluzy, spięte pod samą szyją, nieraz szeroką wstążką, wkładają do pasów z jedwabiu lub rzemienia, bogato ozdobionych. Spodnie są więcej podobne do spodnic, tak są obszerne i bufiaste. Małe czapeczki lub szerokie słomiane kapelusze na głowie, oraz drewniane chodaki na grube pończochy to zakończenie stroju każdego tutejszego rybaka, a nawet małego chłopca, co ledwie od ziemi odrósł.

Czy tylko te stroje są oznaką ich kultury ludowej, objawem ich duchowego artyzmu? Co za grzeczni są ci ludzie! Jaka ogłada towarzyska u tych dzieciaków! Uśmiechają się do każdego obcego, nic się nie boją, a co gorsze, zaczynają same rozmowę i zaglądają wprost w twarz. Gdy się spotka ich większą gromadę, otaczają całą kupą i proszą, żeby ich fotografować. Przy tym robią miny i śmieją się wesoło.



Ryc. 40. Domy Vollendam znajdują się poniżej ulicy wiodącej groblą kamienną wzdłuż morza.

Fot. autor.

Zobaczmy teraz ich mieszkania. Dwóch chłopaków prowadzi mnie do najstarszego domu we Vollendam. Domek ten posiada już 300 lat i mało co się różni od innych. Moi przewodnicy zdejmują chodaki przed progiem i wchodzą pierwsi. Spotykam staruszkę, z którą zaczynam rozmowę. Pokazuje mi pokoiki, obrazy wiszące na ścianach, talerze malowane z napisami, a w końcu w kuchni chce mnie częstować kawą. Dała się sfotografować, ale nie chciała podać swego nazwiska i adresu, żeby jej wysłać fotografię.

Łóżka w tym mieszkaniu znajdowały się, według zwyczaju holenderskiego, w specjalnej niszy poza firanką rozsuwaną na noc dla dostępu powietrza. Żegnam się z domownikami i wychodzę na ulicę, a oni odprowadzają mnie i żegnają jak przyjaciela.

Główną ulicę Vollendamu można nazwać ulicą Pocztówek, tyle tu sklepów i kiosków z widokami i pocztówkami. Gdy przyjedzie tu okręt z turystami, rozkupują oni tysiące kartek i poczta ma robotę. Tury-

stów pełno po kawiarniach i restauracjach, gdzie grają gramofony samoczynnie zmieniające płyty i gdzie usługują miłe dziewczęta uśmiechające się do gościa już od progu.

Idę główną ulicą brukowaną cegiełkami. Z jednej strony rząd domków stojących szczytami dachów do drogi, niskich, kolorowo malowanych, a przez szerokie okna można zobaczyć czyste wnętrza po-



Ryc. 41. Na wyspie Marken domy budują na wysokich palach. Mieszkania połączone są ze sobą brukowanymi gankami.

Fot. autor.

koików, z drugiej strony morze bijące pieniącą się kipielą o kamienną groblę. Ponad czerwonymi dachówkami piętrzy się nowożytny kościół katolicki.

Idę do przystani portowej, bo już czas wyjazdu się zbliża. Na statek cisną się turyści, wśród których zwraca uwagę mała postać Chińczyka. Zapoznaję się z nim. Pan Quek-Kai-Teng jest sekretarzem poselstwa chińskiego w Berlinie, a teraz ma urlop i zwiedza Holandię.

Po godzinie jazdy okrętem, przybywamy na wyspę Marken. Wyobraźmy sobie zieloną łąkę na morzu, a na łące nad samym morzem wioskę na wysokich palach pobudowaną. Gromada domów drewnianych pomalowanych na zielono i czarno, a niżej mnóstwo łodzi rybackich. Tłum kobiet i dzieci przygląda się pasażerom. Widzimy tu podobne ubiory i mieszkania, jak we Vollendam. Między sąsiadującymi domami ciągną się ganki cegłą kryte z oparciami z drzewa. Bu-

downictwo palowe przypominające prahistoryczne osady, ale czystość wzorowa i radio mówią nam o dobie współczesnej.

Wiele widziałem wiosek rybackich w czasie swego pobytu w Holandii, lecz tak ciekawej, jak Marken, nie było drugiej.

Łodzią motorową jedziemy do Monikendam. Zajeżdżamy do przystani tuż obok dużych wędzarń rybackich. Na stołach porozkładano



Ryc. 42. Monikendam. Ruch w przystani portowej.
Fot. autor.

pocztówki do sprzedania, a obok ryby i bułki. Dają to, czego przyjezdny najwięcej potrzebuje. Kiedy tylko fala turystów opuściła motorówkę, już się cisną do niej rybacy z towarem. Dźwigają go w koszach i wiadrach zawieszonych na drewnianych wieszadłach, które noszą na ramionach.

W Monikendam warto obejrzeć średniowieczny kościół gotycki, obecnie protestancki, gdzie można jeszcze dziś czytać napisy na płytach nagrobkowych, z których posadzka jest utworzona. W centrum wsi sklepy z rowerami, kawiarnie, skwery i tramwaj mogący nas każdej chwili przenieść do Amsterdamu. Idziemy uliczką wzdłuż kanału, a po drodze zaglądamy do mieszkań. Czy tu mieszkają adwokaci, inżynierowie, nauczyciele, urzędnicy? Wszędzie dywany, kilimy, etażerki z książkami, pianina, lustra i gustowne meble, a czystość zdumiewająca. Telefony, elektryka, radio Philipsa, kaflą obite ściany sieni. Domy nieduże, ale wygodne, każdy dla jednej rodziny, dachy strome



Ryc. 43. Uliczka nad kanałem w Monikendam.

Fot. autor.



Ryc. 44. Monotonną równinę holenderską urozmaicają obracające się leniwie wiatraki i kwadratowe domy o dachach podobnych do stogów siana.

Fot. autor.

z pokoikami na poddaszach, a tuż obok poza wioską ogródki warzywne i łąki z bydłem.

Wszyscy tu łowią ryby, od dziecka począwszy, wszyscy tu jeżdżą na rowerach i łódkami. Są nawet sklepy z wędkami.

Za wsią z grobli widok na równinę nadmorską, poprzerzynaną kanałami i asfaltowymi drogami, gładkimi jak stół. Tu i tam stary wiatrak przecina niebo swymi ramionami, kołysząc się miarowo i jednostajnie, jakby liczył czas. Domy wsi Kadwoode kwadratowe o bardzo stromych dachach wyglądają z daleka jak stogi siana. Tylko kominy zdradzają, że tam ludzie mieszkają. Na pastwiskach, zielonych jak najjaskrawsza zieleń soczysta i puszystych jak najgrubszy dywan, pasą się stada krów, a nie pilnuje ich nikt, bo każda łąka jest otoczona kanałami ze wszystkich stron. Krowy pasą się w Holandii też w nocy. Trzy razy na dobę przychodzą do nich dziewczęta i chłopcy, doją je po kolei, a mleko od razu odstawiają do spółdzielni, dokąd zabierają je w olbrzymich bańkach auta ciężarowe.

Mleko jest jedną z podstaw bogactwa narodowego Holandii.

(Dokończenie nastąpi).

FISCHER WŁODZIMIERZ (Kielce)

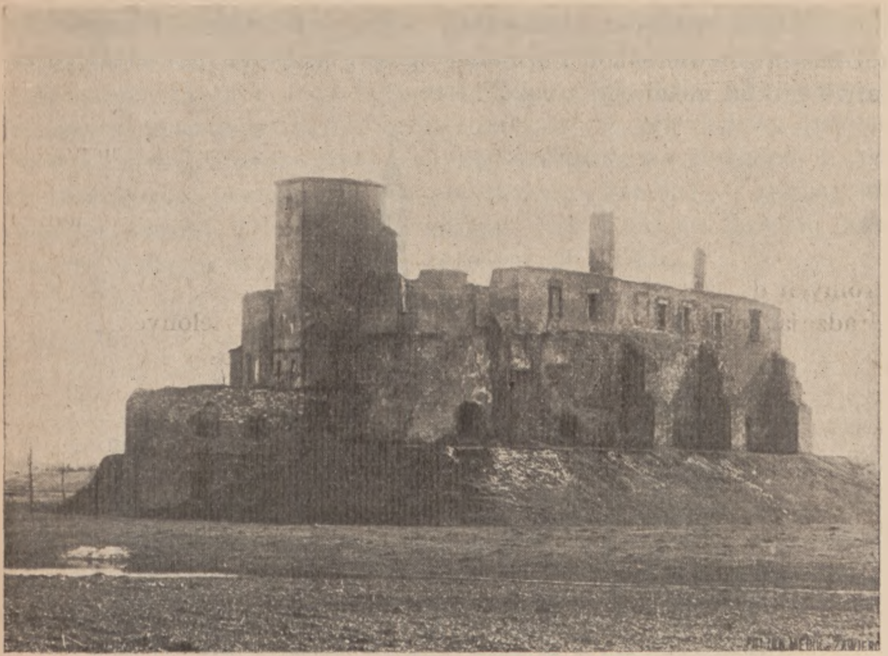
Siewierz dawna stolica księstwa Siewierskiego

Na granicy przemysłowego Zagłębia i Śląska, tętniących gorączkowym życiem doby dzisiejszej, o 14 kilometrów na zachód od Zawiercia, leży nad Czarną Przemszą ciche i zapomniane dziś miasteczko Siewierz, niegdyś stolica udzielnego księstwa, które prawie przez trzy i pół wieku istniało całkiem niezależnie obok Rzeczypospolitej i dopiero postanowieniem Sejmu czteroletniego z czerwca 1790 roku wcielone zostało do Korony.

Jako osiedle istniał Siewierz zapewne już w X wieku. Sama nazwa jego, jaką w różnych aktach spotykamy, zmieniała się z biegiem czasu. I tak znamy nazwy: Sievior, Sevior, Sevor i Syewyor. Długosz używa nazwy Szyewyor, a natrafiamy też niejednokrotnie na nazwę łacińską Severia.

Pierwszą pisaną wzmiankę o istnieniu Siewierza spotykamy w bulli papieża Kaliksta II z roku 1105, zatwierdzającej nadania dla klasztoru Benedyktynów w Tyńcu.

Dalsza wiadomość pochodzi z roku 1193 (Kodeks Małopolski II), kiedy to Kazimierz Sprawiedliwy darował zamek siewierski za zasługi



Ryc. 45. Ruiny zamku w Siewierzu nad Czarną Przemszą.

wojenne rycerzowi niemieckiemu Wichfrydowi, wnukowi margrabiego Lamfryda, dworzanina cesarza Fryderyka Rudobrodego.

Siewierszczyzna była już od wieku XI kasztelanią, jedną z najstarszych w Małopolsce. Utworzył ją prawdopodobnie Bolesław Chrobry, na miejscu dawnego grodu szczepowego. Tytuł księstwa otrzymała o wiele później, gdyż prawdopodobnie dopiero z początkiem XIV wieku.

W czasie walk Władysława Łokietka o tron krakowski był Siewierz świadkiem bitwy stoczonej w roku 1289 z wojskami księcia Henryka Wrocławskiego. Wspomina o tym Kromer w swej „Kronice Polski".

Wskutek odstąpienia przez Kazimierza Wielkiego zwierzchniczych praw do Śląska Czechom, ziemie te a także i Siewierszczyzna, wydane władztwu zniemczałych królów czeskich, germanizowały się i ostatecznie odpadły od macierzy.

Uniknęła tego losu właśnie Siewierszczyzna, dzięki kanclerzowi wielkiemu koronnemu i biskupowi krakowskiemu Zbigniewowi Oleśnickiemu. W roku 1442 nabył on bowiem księstwo Siewierskie od Wacława księcia Cieszyńskiego za 6.000 grzywien szerokich groszy czeskich. Nabyte przez Oleśnickiego księstwo Siewierskie nie zostało jednak wcielone do Korony, lecz pozostało samodzielnym państewkiem

pod rządami biskupów krakowskich, którzy od roku 1484 przyjęli tytuł książąt Siewierskich. Formalnie sprawę księstwa Siewierskiego załatwił traktat głogowski z roku 1462.



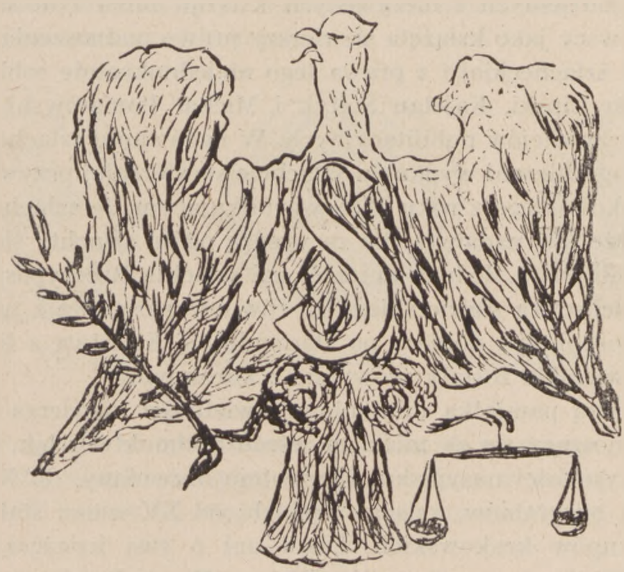
Ryc. 46. Fragment zamku w Siewierzu z r. 1820 wedle współcz. ilustracji.

Biskup Jan Rzewuski pierwszy podpisywał się „Dominus et Princeps Ducatus Severiensis“. W tym czasie obszar Księstwa Siewierskiego obejmował około 10 mil kwadratowych z 3 miastami i 28 wsiami. Z tej liczby własnością biskupa były dwa miasta, Siewierz i Czeladź, oraz ośm wsi.

Udzielność Księstwa Siewierskiego stwierdza między innymi wydany w r. 1635 przez króla Władysława IV uniwersał, zabraniający wojsku rekwizycji, podwód i leży w Księstwie Siewierskim podnosząc, że „udzielne jest od wszelakich podatków wolne i żadnym ciężarom niepodlegające Księstwo Siewierskie“.

Książęta-biskupi wykonywali na obszarze księstwa nieograniczoną władzę administracyjną i sądowniczą, utrzymywali własne wojsko, posiadali własną mennicę, a nawet udzielali nobilitacji i indygenatów.

W zakresie sądownictwa biskup krakowski był dla Siewierszczyzny najwyższym sędzią, który w sprawach apelacyjnych sam rozstrzygał, — a po utworzeniu w r. 1643 Trybunału Siewierskiego był jego przewodniczącym, posiadając nawet „prawo miecza“ tj. prawo kary śmierci. Siewierz słynął z nadzwyczaj surowego sądownictwa. Świadczy o tym do dziś jeszcze utrzymujące się przysłowie: „Kradnij — zabijaj, ale Siewierz omijaj“. Nawet za kradzieże stosowano tu bowiem karę śmierci, a częste w użyciu były: pręgierz, dyby i kuna.



Ryc. 47. Herb miasta Siewierza z roku 1742.

Obok utrzymywanej stałej zaciężnej załogi na zamku Siewierskim, biskupi rozporządzali też pospolitym ruszeniem szlachty, która obowiązana była na wypadek „potrzeby wojennej“ stawić się zbrojnie na wezwanie księcia-biskupa.

Przykładem takiej „potrzeby“ może być bunt Kostki Napierskiego w r. 1651. Wobec wyprawy beresteckiej kraj był ogołocony z wojska, a tymczasem zachodziło niebezpieczeństwo rozszerzenia się przede wszystkim w ziemi krakowskiej rebelii Napierskiego, który zdołał zająć zamek w Czorsztynie. Na zarządzenie biskupa Gębickiego wysłano przeciw Napierskiemu 260 ludzi piechoty siewierskiej z dwoma działami i 60 jeźdźców. Tą „armią siewierską“ zamek w Czorsztynie zdobyto, Napierskiego i towarzyszy ujęto i dalszemu szerzeniu się buntu zapobieżono.

Jakkolwiek wątpliwym wydaje się, aby państewko o kilku milowym obszarze potrzebowało własnej monety, to jednak istniała i czynną była w Siewierzu mennica biskupia. Z wybijanych tamże monet więcej znane są: grosz srebrny z roku 1761 i dukat złoty z datą 1762 roku i popiersiem biskupa Kajetana Sołtyka. Miały one wyższą wartość obiegową od monety krajowej polskiej i były bardzo poszukiwane, zwłaszcza wśród kupców ze Śląska.

Posiadając w stosunkach wewnętrznych Księstwa Siewierskiego pełnię władzy udzielnych i niezawisłych książąt, mieli tym samym biskupi krakowscy jako książęta siewierscy prawo podnoszenia plebejów do godności szlacheckiej i z prawa tego niejednokrotnie robili użytek. Biskupi: Jan Lipski, Kajetan Sołtyk i Michał Poniatowski podpisali łącznie 23 przywilejów nobilitacyjnych. W nadawaniu szlachectwa byli oni jednak ograniczeni wydanym szlachcie siewierskiej przywilejem biskupa Myszkowskiego z roku 1589 warunkującym, że szlachectwo siewierskie może być nadane tylko za wiedzą ogółu szlachty siewierskiej („totius nobilitatis“). Jednak ani król ani szlachta Rzeczypospolitej nie uważali szlachectwa siewierskiego za równowartościowe z nobilitacjami Rzeczypospolitej i dopiero po złączeniu się Księstwa z Polską nobilitacje siewierskie zostały zrównane z koronnymi.

Najciekawszą pamiątką minionionej świetności Siewierza to zamek biskupi, wznoszący się za miastem wśród podmokłych łąk, na kilkumetrowej wysokości nasypisku. Pierwotnie drewniany, do XIV wieku był siedzibą burgrabiów, książąt śląskich; od XV wieku stał się rezydencją biskupów krakowskich. Dbali oni o swą książęcą siedzibę, często i chętnie tu przebywali. Biskup Piotr Tomicki przebudował starą warownię na wspaniałą rezydencję. Na jej utrzymanie przeznaczony był nawet specjalny podatek. To też zamek utrzymywany był na stopie prawdziwie książęcej i posiadał nawet własną kapelę nadworną.

Długi czas mieszkał i zmarł na zamku siewierskim biskup Kajetan Sołtyk; tu też przebywał w smutnych czasach rozbiorów, ostatni rzeczywisty książę siewierski, biskup Paweł Turski.

Raz jeszcze zaistniało Księstwo Siewierskie. Reaktywował je w roku 1807 Napoleon Bonaparte i nadał swemu bohaterskiemu marszałkowi Lannesowi księciu de Montebello. Ale już w roku 1813 wrócił Siewierz do dóbr narodowych, a po utworzeniu Królestwa Kongresowego znalazł się pod berłem rosyjskim.

Zamek siewierski był świadkiem wielu wydarzeń dziejowych. Tu w r. 1426 zatrzymał się król Władysław Jagiełło dążąc z Krakowa do Wielkopolski na Olkusz, Siewierz, Koziegłowy i Wieluń. W murach

siewierskiego zamku szukał schronienia Stefan Czarniecki z garstką rycerstwa po kapitulacji Krakowa w roku 1655.

Ruiny zamku pozwalają nam odtworzyć sobie pierwotny jego wygląd. Zamek był obszerną budową piętrową i posiadał kształt wieloboku nieumiarowego. Zewnętrzne jego ściany wzmacniały do dziś zresztą istniejące potężne szkarpy. Dolna część zamku o silnych sklepieniach miała jak to widać przeznaczenie obronne i zaopatrzona była w strzelnice; piętro służyło celom mieszkalnym. Mieścił się tu szereg obszernych komnat mieszkalnych, wykładanych marmurem i zdobnych bogatym ornamentem architektonicznym.



Ryc. 48. Pieniądze księstwa siewierskiego. (Powiększenie $1^1/_2$-krotne).

Wysoko ponad mury zamkowe wznosiła się od strony północnej potężna baszta, w górnych piętrach ośmiokątna, w dolnej części czworoboczna. W baszcie tej znajdywała się brama wiazdowa, a obok łukowa furta.

Silne mury obronne, z których dziś już nie ma śladu, obok zalanych ongi wodą obszarów dokoła zamku, oraz jeszcze widocznych wałów ziemnych, dopełniały systemu obronnego.

Zamek siewierski choć opuszczony długo bronił się przed upadkiem. Jeszcze w r. 1849 Fr. Sobieszczański w „Wiadomościach o Sztukach Pięknych“ pisze, że zamek siewierski „do dziś dnia zachowuje się w dobrym stanie“...

W tym też czasie baszta zamkowa posiadała jeszcze piękny hełm. Ale rychło już rozpoczął się upadek zamku. Zaczęto rozbierać mury szukając ukrytych skarbów. Naturalnie, że ich nie znaleziono, natomiast powyrywane z murów ciosy zaczęli Siewierzanie bez skrupułów zabierać na praktyczny użytek, przyspieszając ostateczny upadek zamczyska.

Z początkiem bieżącego wieku w związku ze zmianą właściciela ruin, mówiono o zamiarze zabezpieczenia ich przed dalszym niszczeniem, a nawet odbudowaniem zamku. Ale do tego nie przyszło, — a dziś nic

już nie zdoła powstrzymać od ostatecznego upadku tej świetnej ongi siedziby książąt-biskupów krakowskich.

Z zabytków Siewierza godne są poza tym uwagi: kościół parafialny św. Mateusza z XIV wieku, przebudowany w r. 1783 przez biskupa Kajetana Sołtyka, co stwierdza tablica umieszczona nad portalem, dalej starożytny, romański kościółek z XII wieku św. Jana Chrzciciela, według Długosza wzniesiony przez sławnego Piotra Dunina, wreszcie kościółek szpitalny św. Walentego, pochodzący z r. 1618.

Jakkolwiek Siewierz leżał na ruchliwym szlaku handlowym i komunikacyjnym z Wrocławia do Krakowa i był stolicą udzielnego księstwa, to jednak nigdy nie rzwinął się tak, jakby można się było spodziewać, biorąc jego korzystne warunki pod uwagę. Nawet cechy rzemieślnicze nie doszły tu do większego znaczenia, z wyjątkiem może cechu garncarskiego najstarszego w Siewierzu. Cech ten zobowiązany był składać corocznie biskupowi daninę w formie czterech kóp garnków kamiennych i glinianych.

Już Kromer wspomina, że w pobliżu Siewierza wydobywano rudę żelazną, a nawet przetapiano rudę srebronośną. Około roku 1724 biskup Konstanty Szaniawski założył tu hamernię żelaza. Ale poszukiwania za kopalinami w czasach Staszica nie dały pożądnych wyników. Cały rozwój naszego górnictwa i hutnictwa zwrócił się w kierunku południowo-zachodnim do Zagłębia Dąbrowskiego.

Utrudniona wobec braku kolei komunikacja uniemożliwiała tu wogóle rozwój przemysłu i handlu, a Siewierz zeszedł w końcu do rzędu nędznie wegetujących zapadłych osad.

Ale stan ten może się rychło zmienić. Rozpoczęto już bowiem prace nad budową linii kolejowej z Zawiercia do Tarnowskich Gór, która przejdzie przez Siewierz. Przyczyni się ona niewątpliwie do podniesienia i ożywienia dawnej stolicy Księstwa Siewierskiego.

PĘKALSKI MICHAŁ (Urzędów, woj. lubelskie)

Kościół pod wezwaniem św. Anny w Zaklikowie[1]

Na zaklikowskim grzebalnym cmentarzu opustoszały i pełen smętku stoi modrzewiowy kościółek pod wezwaniem św. Anny (ryc. 49 i 50).

[1] W archiwum kościoła zaklikowskiego znajdują się dwie księgi wizyt biskupich: jedna z 1801, druga z 1806 roku. W pierwszej z nich znajdują się przytoczone in extenso przywileje i akta, z których najstarszy z 1409 r. dotyczy pobudowania kościoła w Zdziechowicach i założenia tamże parafii. Przy pisaniu niniejszego artykułu korzystałem z obu wymienionych ksiąg.



Ryc. 49. Kościół pod wezwaniem św. Anny w Zaklikowie widziany od strony zachodniej. *Fot. autor.*

Ocieniony ze wszech stron gęstwą splątanych gałęzi, uszedł kilkakrotnie losu swoich najbliższych sąsiadów obracanych w popielisko przez olbrzymie pożary. Wieczny cień i gnieżdżąca się z tego powodu w załamaniach wilgoć nadgryzła więźbę dachu i zmurszał gont, który zastąpiono w ostatnich czasach blachą. Z potężną grubością podwalin uporał się czas, w niektórych miejscach zwęziły się one już do połowy.

Wnętrze kościoła surowe, jak surowa była ręka, która go wznosiła, nie zmieniło się tu prawie nic na przestrzeni 130 lat, tj. od 1806 r. (ostatniej notatki w kronice kościelnej). Zastąpiono tylko ołowianą oprawę szyb bardziej nowoczesnym urządzeniem... ramami z kitem. Dawne obrazy ustąpiły miejsca nowym z końca pierwszej połowy ubiegłego wieku. Malowane na płótnie i niezbyt wprawną ręką nieznanych artystów są ofiarami i wotami mieszczan zaklikowskich.

Ponieważ nie wiele się zmieniło na przestrzeni owych 130 lat, podaję przeto opis według księgi wizyty biskupiej z 1806 r.:

„Kościółek ten jest drewniany. Wchodząc do niego, są drzwi wielkie, podwóyne, zewnątrz zasuwą opatrzone. Wszedłszy do kościółka, po prawey stronie przy drzwiach wielkich iest obraz na płótnie malowany na ścianie przybity, daley są ławeczki poczwórne, po teyże stronie są drzwi poboczne mnieysze od pierwszych, ze środka kościoła na wrzeciądz zamykane. Pod (...?) iest obraz ś. Karola. Idąc do wielkiego

ołtarza w prezbiterium na ścianie pod oknem są drzwi. Ławki sosnowe poyedyńcze. Ołtarz wielki stolarską y snycerską robotą, malowany niebiesko y gdzieniegdzie wysrebrzany. Obraz w nim iest ś. Anny na płótnie malowany Fot. Nr 3, powyżey obraz SSS. Tróycy maiący. Mensa przy nim murowana i gradus takiż. Od wielkiego ołtarza idąc do zakrystyi iest dzwonek zawieszony, drzwi do zakrystyi sosnowe y wrzeciądz do kłódki. W zakrystyi iest stół do ubierania się do Mszy S. y obraz duży w ramach Pana Jezusa Ukrzyżowanego. Wychodząc z zakrystyi w prawą stronę iest w rogu presbiterii ambona drewniana malowana na niebiesko, koło tej ambony stoi ołtarz niebiesko malowany, mieyscami wysrebrzany. W nim obraz Ś. Józefa, mensa przy nim drewniana, także malowana. Po niżey tego ołtarza są drugie drzwi poboczne na kłódki z cmentarza zamykane, potem ławka potróyna ordynaryjna. Za ławką tą iest weyście na chór, na którym iest okien w ołów oprawnych 5, a nad chórem oprawne w drewno pomnieysze iedno. W zakrystyi iedno bez szkła maleńkie za kratą drewnianą. Podłoga y podsiebitka z tarcic, w presbiterium posadzka ceglana, w zakrysyi z tarcic. Dach cały gontami pobity y kopuła w której iest sygnaturka. Cała budowa tego kościoła drewniana, lecz że na podmurowaniu stoi drzewo ieszcze mocne y zdrowe. Cmentarz przy tym kościele ma nowy parkan. Na prost drzwi wielkich tego kościółka iest dzwonica na 4-ch słupach, w tey zawieszony iest dzwon nie wielki. Cmentarz długi łokci 60, szeroki 60. Kościółek trzyma długości 26 a szerokości 16. Na cmentarzu chowaią się ciała zmarłych."

Miejscowa tradycja głosi, że kościół ten pierwotnie był pobudowany w sąsiednich Zdziechowicach, lecz przeniesiono go do Zaklikowa na skutek parokrotnych objawień się św. Anny w miejscu, gdzie obecnie kościół ten stoi. Jeszcze przed kilkunastu laty pokazywano zmurszały pień lipy, przykryty daszkiem z gontów, jako rzekome miejsce objawienia się patronki kościoła. Daty jednak przeniesienia nikt, nawet w przybliżeniu, określić nie potrafił. Również w dostępnych mi aktach żadnej wzmianki o tym nie znalazłem. Kościół ten jeszcze w 1806 r. akta określają jako kaplicę św. Anny (capella S. Annae).

Przypuszczać należy, że przeniesienie, jeśli wógóle miało miejsce, nastąpiło między rokiem 1608 tj. po wybudowaniu kościoła w Zaklikowie i po przeniesieniu tam parafii [1], a r. 1806 tj. kiedy go już w miejscu dzisiejszym zastajemy.

[1] Księga wizyty biskupiej z 1801 r., str. 40: „Proinde cum Generosa Domina Anna Gniewoszowa olim Domini Martini Gniewosz de Wnorów vidua relicta in Oppido Zaklików ...Ecclesiam lateritiam a fundamentis excitasset..." (Akt z 1698 roku — odpis).



Ryc. 50. Kościół św. Anny od strony północnej.

Fot. autor.

W tym samym czasie, kiedy kościółek znajduje się jeszcze w Zdziechowicach istnieje w Zaklikowie kaplica pod wezwaniem św. Anny (Capella sive Ecclesia S. Annae). I tu powstaje trudność stwierdzenia, czy obecny kościół pod wezwaniem św. Anny, noszący też nazwę kaplicy, był pobudowany w Zdziechowicach i przeniesiony w czasach późniejszych do Zaklikowa, jak głosi tradycja, czy też odrazu był pobudowany na obecnym miejscu, a dawny w Zdziechowicach uległ rozbiórce, czy też spłonął.

Około 1550 [1] r. powstaje w Zdziechowicach zbór kalwiński i kościółek przechodzi w jego ręce. Stało się to za sprawą Marcina Gniewosza, ówczesnego właściciela Ździechowic i Zaklikowa [2]. Zbór utrzymuje się tam przypuszczalnie do roku 1608—9 [3], tj. do chwili pobudowania kościoła w Zaklikowie i przyłączenia parafii zdziechowskiej do nowo-

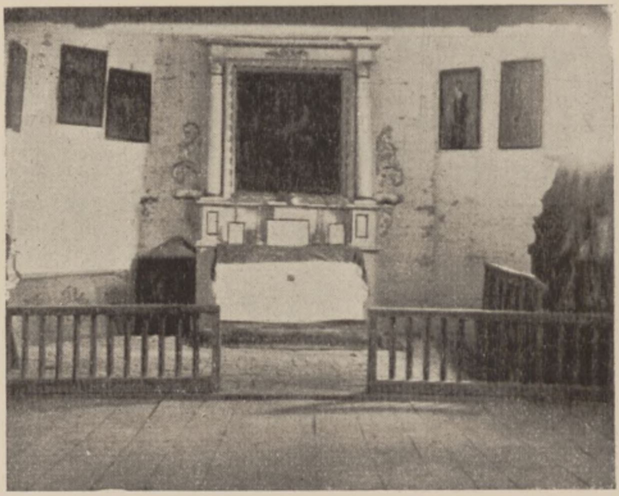
[1] Tamże: „Praeterea Ecclesia Parochialis Zdziechovicensis, intra cujus limites Oppidum Zaklikow est creatum ut eidem Zaklikoviensi Ecclesiae authoritate nostra ordinaria uniretur". (Akt z 1608 roku — odpis).

[2] Aleksander Kossowski: Protestantyzm w Lublinie i Lubelskim w XVI — XVII wieku. Lublin 1933, str. 232.

[3] Tamże, str. 96: „...Kościół obrócił na zbór Marcin Gniewosz. Data profanacji nie jest nam znana. Księga wizytacji biskupa Radziwiłła z 1598 roku wymienia kościół w Zdziechowicach w spisie kościołów sprofanowanych"...

kreowanej w Zaklikowie. Kościół jednak pozostaje i ma pozostać nadal, a co ważniejsza jest już z powrotem w rękach katolików.

Pobudowanie kościoła w Zaklikowie, zjednoczenie parafij i przejęcie kościoła ździechowskiego z rąk kalwinów było dziełem Anny z Leszczów Gniewoszowej, wdowy po wyżej wspomnianym Marcinie Gnie-



Ryc. 51. Wnętrze kościoła św. Anny.

woszu. Czyn ten należy uważać z jej strony jako wyraz ekspiacji za błędy jej męża.

Chodzi tu jeszcze i o nazwę kościołów. Kościół w Zaklikowie otrzymuje wezwanie św. Trójcy, tymczasem gdy nazwę św. Trójcy i św. Bartłomieja nosi kościół w Ździechowicach. Albo więc częściową nazwę przeniesiono ze starego kościoła na nowy, a staremu dano nazwę św. Anny, patronki Gniewoszowej i przeniesiono go później do Zaklikowa, albo jest to zupełnie inny kościół, a ździechowski został zniszczony, co zdaje się potwierdzać notatka, że „per iniuram temporum Ecclesia in Ździechowice est plane extincta" [1]. Przypuszczenie, że spalili go później kalwini, względnie że został zburzony w czasie najazdów, może mieć pewne cechy prawdopodobieństwa.

Ponieważ pochodzenie zaklikowskiego kościółka pozostaje na razie kwestią otwartą, nie zawadzi dodać, że fundatorem kościoła w Ździechowicach był Jan Treska, pan na Gniewczycach, właściciel Ździechowic i innych włości.

[1] Tamże, str. 233.

[2] Księga wizyty biskupiej z 1806 roku, str. 29.

Akt fundacji kościoła, jak i wyposażenia parafii był spisany w dzień św. Maurycego 1409 r. w Ździechowicach w obecności księży: Piotra z Potoka, Jakuba z Gierczyc, Jana z Bochy i innych wiarygodnych świadków, zatwierdzony zaś został w tymże roku dnia 9 listopada w Nowym Sączu przez Pawła Andrzeja z Byczków, sekretarza Jego Królewskiej Mości. O potwierdzenie tej fundacji zabiegał opatrzny Tomasz, duchowny z djecezji gnieźnieńskiej.

Motywy założenia kościoła w Zdziechowicach akt podaje następujące: troska o zbawienie dusz, zbyt wielka odległość od kościoła parafialnego w Zawichoście, do której to parafii Zdziechowice należały, trudny dostęp do kościoła z powodu bagien oraz obawa i niebezpieczeństwo przeprawy przez Wisłę.

Kościół w Ździechowicach był pobudowany, jak głosi tradycja, w miejscu, gdzie obecnie jest budynek szkoły powszechnej. Częściowo wskazuje na to wysadzona bukami aleja, wybiegająca do zaklikowskiego gościńca.

Ks. STANISŁAW WAWRZKIEWICZ T. J.
Misja Kasisi, Półn. Rodezja.

Warunki życiowe w Północnej Rodezji

Ks. Stanisław Wawrzkiewicz, Jezuita, pochodzący z Łańcuta, przed dziesięciu laty wyjechał jako misjonarz do Północnej Rodezji, gdzie dotychczas przebywa. Ks. St. Wawrzkiewicz nadesłał do Redakcji ,,Zbliska i Zdaleka" opis Półn. Rodezji, który poniżej drukujemy.

Północna Rodezja, to w przeważającej części wielka, nieco falista, suchymi jarami i rzeczkami poprzeżynana wyżyna, wyniesiona od 850 do 1150 m n. p. m. Dzięki temu wysokiemu położeniu klimat nie jest tak gorący (najniższa temperatura $+ 1^0$ C, najwyższa $+ 40^0$ C), jak w południowej części. Tam z południowego-zachodu na północnywschód ciągną się góry Macinga, które po swej wschodniej stronie opadają stromo do poziomu 300 m n. p. m. Tam też klimat jest gorący a temperatura najniższa wynosi $+ 10^0$ C, najwyższa $+ 45^0$ C. Silnych wiatrów w ciągu roku jest bardzo mało. Za to upał daje się we znaki, szczególnie przy końcu października i w listopadzie, tuż przed porą deszczową. Wtedy to gorąco pali od kamieni nawet i w nocy.

Szczytem wielkiego płaskowyżu przebiega linia kolejowa z południa na północ. Od niej na zachód płaskowyż nieco opada do rzeki Kafue, która zatacza wielki łuk, wygięty ku zachodowi i wpada do rzeki Zam-



Ryc. 52. Autor artykułu ks. Wawrzkiewicz w otoczeniu swoich parafian w Kasisi.
Fot. autor.

bezi, stanowiącej południową granicę Północnej Rodezji. Dolina rzeki Luangwy w dolnym biegu na przestrze-65 km a nawet i więcej jest granicą między Północną Rodezją a Portugalskim Mozambikiem. Środkowy i górny bieg Luangwy leży jeszcze na terytorium Północnej Rodezji, której wschodnia granica w tamtych stronach przebiega niedaleko od jeziora Nyasa. Wąski stosunkowo pas na zachodnim wybrzeżu jeziora Nyasa stanowi kraj zamieszkały przez rosły szczep Angonów. Kraj ten po angielsku nazywa się Nyasaland. Anglia ma nad nim protektorat, czyli kraj ten nie jest kolonią angielską jak Północna Rodezja, ale jest tylko okupowany.

Nad dolną Kafue, Zambezą, Luangwą i w całej wschodniej Półn. Rodezji żyje słoń-olbrzym, a żyje stadami, samotnie prawie nie spotykany; wyjątkowo tylko zostaje za stadem, gdy chory i bliski śmierci, ze współbraćmi już nadążyć nie może. O jego wielkości można sobie wyobrazić choćby z śladów, jakie po sobie pozostawia. Przedzierając się przez dżunglę łamie całe drzewa, pozostawiając utorowaną drogę tak szeroką, że śmiało by mogły dwa wozy przejechać jeden obok drugiego. Olbrzym ten żywi się roślinami, a więc: trawą, liśćmi z gałązkami drzew itp.

Drugi co do wielkości to hipopotam, żyjący głównie w Zambezie, Kafue, Lusemfwie, dopływie Luangwy. Hipopotamy widziałem raz przed kilku laty w Lusemfwie, gdy chodziłem po wsiach z misji Chingombe i oglądałem później zniszczone przez nie nadbrzeżne pola tubylców. Zwierzęta te są już rzadkie. Toteż polowanie na słonia i hipopotama obłożone jest wysokim podatkiem. Spotyka się częściej dzikie bawoły i czasem trafi się nosorożec, żyjący w okolicach bagnistych.

We wschodnich połaciach Półn. Rodezji żyją żyrafy, ale bardzo



Ryc. 53. Dom misyjny w Kasisi.

Fot. autor.

rzadko można je ujrzeć. Dalej, rozmaite rodzaje saren, antylop, różniące się wielkością, kolorem sierści, wielkością i kształtem rogów. Największy gatunek mógłby równać się średniemu koniowi, najmniejszy jest wielkości średniego psa. Mają też, zależnie od gatunku, najrozmaitsze nazwy, nadawane przez Anglików, jako też krajowców.

Inne zwierzęta żyjące w Półn. Rodezji, to zebra, dziki osioł i groźny drapieżnik, król zwierząt, płowy lew. W Mpinie pewnego późnego popołudnia, gdy wracałem z nauki udzielanej czarnym, widziałem takiego lwa gdy się oddalał, skacząc przez trawy. Raz wieczór w Kalondwe, nasłuchałem się znowu ich ryków. Często nawiedzają też Czingombe. Nigdzie nie jest miejsce całkiem od nich bezpieczne, wszędzie może się pojawić. Podobnie lampart, hiena i szakal. Lampart, zwierzę niebezpieczne, umie doskonale biegać po drzewach, to też dosięgnie nawet zwinne małpy, zaś hiena i szakal dla ludzi są nieszkodliwe. Dalej można spotkać dzikie psy, zupełnie do wilków podobne. Zazwyczaj chodzą mniejszymi stadami, po kilka lub kilkanaście. Spotkałem raz w Mpyamase takie stadko w odległości kilkunastu kroków. Prowadziłem wówczas motocykl po bardzo wąskiej i niewygodnej do jazdy ścieżce. Przyglądały mi się, nie atakowały, miały pewnie respekt przed maszyną. Wraz z motocyklem uważały mnie za poważnego przeciwnika, a może tylko nie były głodne po nocnej jakiejś uczcie, bo było to rano po 9-tej godzinie.

Z ptaków wymienić trzeba drapieżne sępy, jastrzębie, sowy, które

po nocach mordują jaskółki, gdy jaka schroni się na noc na naszą werandę. Dalej papugi w lasach rzadko spotykane i dzikie gołębie, których wszędzie pełno. Po tym ptactwo mniejsze, co gwiżdże i świerka po swojemu, a jeden gatunek ptaka wydaje głos, jakby rachował po angielsku i woła: twenty-three, tj. 23. Upierzenia tych mniejszych ptaków przeróżne. Stadami latają mniejsze od wróbla, barwy szaro-niebieskiej.

Węże spotyka się dość często. Trafiają się i olbrzymy, grube jak ręka siłacza a długie na 3 i więcej metrów, np. boa. Z jednego węża zdobyłem skórę w Katondwe. Zabił go Brat śrutem, gdy spał zwinięty do słońca w kłębek, w zimnej porze. Najniebezpieczniejszy jest „mwamba", czarny, gdy dorosły, to gruby jak ręka w przegubie, a długi na 2 i więcej metrów. Po ukąszeniu do 5 minut człowiek już nie żyje. Jednego takiego dwa metry długiego zabiłem żerdzią w swojej kuchni w Mpyamasa. Inny gatunek ciemno oliwkowy jest mniej szkodliwy. Jest po ukąszeniu przezeń możliwość ratunku, ale noga po nim bardzo spuchnie i choruje człowiek do dwóch tygodni a czasem i umrze. Skutecznym dość lekarstwem jest alkohol. Są też węże jasno zielone, mniejsze i cieńsze a jeden gatunek jest koloru żółtawo-zielonego. Jest on krótki (2 stopy długości) a gruby do 3 palców; podobno też bardzo jadowity, ale leniwy, stąd łatwo go zabić.

W rzekach i większych bagnach, zwykłymi mieszkańcami są krokodyle. Niema ich tylko w wodach czystych, płytkich i szybko płynących. Powszechne ryby są czarne, podobne do suma. Zwą je murzyni „muzambami" a Anglicy „bawebami". Są też i mniejsze gatunki jak w Europie a nawet jest i szczupak. Raz w Mpyamasa złapałem jednego na zastawioną wędkę. Wydry bywają tu wielkie, prawie czarne, trudne do podejścia.

Owady: motyle i ćmy istnieją tu najrozmaitsze, nawet chrabąszcz tu żyje, lecz o połowę jest mniejszy od europejskiego. Skorpionów dwa gatunki: jeden mały i biały, drugi wielki, nawet tak jak dłoń i czarny. Dalej stonoga czarna, $^1/_2$ dcm długa, jadowita i niebezpieczna, oraz milionoga na 1 dcm długa, więcej czarna, nie szkodliwa. Charakterystyczne są tutaj osy: czarne 1 cal długie, które kąszą pyszczkiem boleśnie, ale nie śmiertelnie; na drugi dzień prawie już nie boli. Za to bydło i ludzie gdy chodzą po trawach, gdzie się bydło pasie, prześladują kleszcze ciemno-brunatne lub zielone. Tak piją ludzką i zwierzęcą krew, że trudno je od ciała oderwać. Bydło od tej plagi bronią ludzie kąpaniem w oleistym roztworze arszeniku (dip), który wlewa się do wąskich i głębokich, cementowanych rowów. Rowy te wypełnie się przywożoną z rzeki wodą i wlewa się do niej odpowiednią ilość



Ryc. 54. Tymczasowe pomieszczenie misji, zbudowane podczas objazdu misyjnego ks. Wawrzkiewicza.

Fot. autor.

dipu. Sam bowiem dip jest zabójczy; wystarczy nim raz zwierzę posmarować a za 4 godziny zdechnie. Tak zgubił tu raz Brat 16-cie cieląt, gdy zamiast podobnym do dipu lekarstwem, posmarował je dipem. Taki rów nazywają tu dippingtank. Prowadzi do niego wąska, na jedno bydlę uliczka, obstawiona wysokimi kołami. W uliczkę tę napędza się bydło z miejsca zamkniętego ogrodzeniem. Z uliczki wrócić się i uciec już nie może, bo nie ma miejsca, a gdy przyjdzie na kraniec, musi skakać do wody z dipem, przepłynąć jak rów długi i wyjść po równi pochyłej z drugiego końca na wierzch. Tak dipują tu bydło co tydzień, a w zimnej porze najmniej raz na miesiąc.

Plagą dla ludzi była tu pchła ziemna, zwana przez czarnych „matakeni". Mnie się ona też dała we znaki dwa razy, czy trzy razy, gdy byłem w Mpimie. Raz wlazła mi między palce u rąk, innym razem za paznokieć u nogi. Tam przebiła w skórze otworek i zniosła swe jaja. Po kilku dniach miejsce to swędziało, czerwieniało, w środku robiło się białe i nabrzmiało do wielkości polnego grochu. Wziąłem igłę, przebiłem skórę i uchem od igły wygarnąłem całą zawartość pęcherza; a były to białe jajka, wielkości drobniutkiego maku; rankę dla dezynfekcji wysmarowałem piórem maczanym w jodynie. Teraz, od paru lat już o tym stworzeniu nie słychać; może już wyginęło, bo i czarni nie skarżą się na nie. Za to moskity panują jak panowały, zwłaszcza w pobliżu rzek, moczarów, stojącej lub leniwo płynącej wody. Jak

wiadomo z nauki przyrody, są trzy rodzaje moskitów, w rozwoju swym bardzo do siebie podobne: 1) Anophaeles powoduje malarię, 2) culex filariasis czyli elephantiasis i 3) aedes, powodujący ukąszeniem żółtą febrę. Wszystkie ukąszenia wprowadzają zarazki do krwi. Szczególnie samice są na krew chciwe. Anophaeles wprowadza do krwi bakcyla, ten mnoży się niezmiernie i powoduje malarię. Chinina powstrzymuje powstawanie toksyny. Anophaeles panuje tu u nas i dlatego każą nam zażywać codziennie chininę, jako środek zabezpieczający.

Widać czasem u nas człowieka z grubą jak konewka nogą, spuchniętą. Spuchlizna ta trwa do śmierci, nie ma na nią środka; to elephantiasis, spowodowana — jak twierdzą — ukąszeniem komara culex. Ten ukąszeniem wprowadza do ciała żyjątko, które się nader szybko rozmnaża i zapełnia wszelkie wolne w ciele miejsca, jak naczynia limfatyczne, potne itp., zatyka je tak, że z tej części ciała nie odchodzą niepotrzebne kwasy i inne produkty a gromadząc się powodują puchlinę. Aedes ukąszeniem ma wprowadzać coś do krwi, co nazywają „vivus“, a nie jest jeszcze dostatecznie zbadane. Ten vivus powoduje wysoką bardzo gorączkę, przy czym skóra u białego człowieka żółknie. Choroba ta może udzielić się innym, zdrowym, przeniesiona z chorego przez moskity lub w ogóle przez owady. Dlatego chorego na żółtą febrę należy odosobnić, trzymać go pod moskiterą, czyli siatką przeciwko moskitom. Z choroby tej trudne wyleczenie. W Północnej Rodezji o chorobie tej nie słychać. Natomiast zdarzają się wypadki śpiączki, zwanej po angielsku „sleepingsickness“, a powodowanej przez muchę, zwaną tse-tse. Mucha ta szara, mało większa jest od zwykłej. Charakterystyką tse-tse jest to, że składa skrzydła na krzyż na końcu odwłoku i kąsze do krwi, a żyje gromadnie. Tam też nie da się bydła utrzymać, a w szerokiej okolicy poza tym miejscem trzeba szczepić odpowiednią szczepionką.

MŁODY KRAJOZNAWCA

JANINA CHUDZYŃSKA (Poznań, IV kl. gimn.)

Tatry

Pociąg sapiąc ciężko podjeżdża pod góry. Już od Poronina jedzie tak wolno, że można doskonale obserwować zmienne krajobrazy Podhala. Po obu stronach toru widać typowe, porozrzucane wioski o niskich, krytych gontami dachach, małe kościółki drewniane lub strome zbocza porośnięte niskimi smerekami, gdzie niegdzie widać także pasące się owce i krowy czerwone z dzwonkami u szyi.

Pociąg mija dworek Kasprowicza, gdzie spędził ostatnie lata życia i grób jego na Harendzie. Tor kolejowy wije się skrętami i coraz to z innej strony wyłania się pasmo gór zamglonych, niejasnych, a już tak bliskich.

I oto zdziwienie! Jest przecież połowa lipca, a na górach najwyraźniej widać śnieg; zdala ukazują się wyraźniej i wyraźniej białe kontury Tatr. Pociąg dojeżdża do Zakopanego. Powietrze jest nadzwyczaj rzeźwe, lecz zupełnie nie odczuwa się, że śnieg jest w górach.

Przed dworcem stoi cała masa dorożek w jednego konia, górale powożą. Ci już ubrani są po góralsku, choć nie jest to jeszcze ich „elita". Każdy porządny i szanujący się góral powinien być albo cieślą, albo przewodnikiem. Teraz zanika ta dawna tradycja w miarę jak coraz mniej jest możnych rodzin górali.

Wiśta! — Jedziemy ulicą Chałubińskiego i już zdaleka poznaję wyłaniające się z za zakrętu szczyty górskie. Naturalnie Giewont, wielki „śpiący rycerz", sterczący dumnie nad Zakopanem. Poznaję śpiczaste szczyty Żółtej Turni i Niebieskiej Turni, na której poniósł śmierć Tytus Chałubiński. Widać przysadzistą kopę Magury, widać Kasprowy Wierch z obserwatorium na czubku, długi grzbiet Kosistej i Kozie Wierchy, i Granaty, i Świnicę, i tyle tyle dawnych znajomych, z którymi radośnie się wita po długich latach rozłąki.

„Gazdo — a cóż to śnieg spadł w górach?" — pytam starego górala zgarbionego na koźle. „A no! Jak wcora zaczło padać, to się dopiero dzisiak rozwidniło i sieg sie pokazał".

Jak śnieg stopnieje, to trzeba będzie wycieczkę zrobić w góry, niestety trzeba będzie kilka dni zaczekać.

Dowiaduję się, że w górach był tłok, ale się wszyscy pościągali przed śniegiem, bo jak kogo, nie daj Boże, w górach złapie śnieżyca i mgła taka że o krok nic nie widać, to biedak musi czekać cierpliwie aż się rozejdzie a w takim zimnie i śniegu niebardzo to przyjemne, więc nikt nie ryzykował.

* * *

Wycieczka już uplanowana, a ponieważ pogoda dopisuje, więc nie ma się nad czym zastanawiać; wkłada się grube buty, do plecaka bierze się jedzenie na cały dzień, mapę i ciepłe rzeczy i dalej w góry! Jedziemy do Kuźnic, a z tamtąd kolejką na Kasprowy, dalej się rozejrzymy co robić.

Wagonik napełniony jedzie pod górę, trochę emocji podczas zjeżdżania w dół przy słupach, a zresztą zupełnie zwyczajna jazda.

Po prawej stronie widać Czerwone Wierchy (Ciemniak, Małołączniak, Kopę Kondracką za Giewontem).

Giewont bardzo śmiesznie wygląda od tyłu, i wcale niepokaźnie, a ktoś gwałtem próbuje dowodzić, że to nie Giewont i nie ma sposobu go przekonać.

Wjeżdżamy na Kasprowy. Jeszcze jeden rzut oka w tył na strome ściany Gładkiego Jaworzyńskiego i wysiadamy. Na Kasprowym strasznie zimno, tak że ząb na ząb nie trafia, wyciąga się z plecaka co tylko jest najcieplejszego i wkłada na siebie. Po kwadransie schodzimy z Beskidu do Hali Gąsienicowej, fotografując widoki. Pomiędzy kosówką idziemy nad stawkami pod Świnicą aż na Kościelec po złomach skalnych i piargach. Co chwilę wyłania się jakiś stawek napół zawalony „maliniakami“, błyszczący granatową powierzchnią.

Powiedzieć komu, żeby wszedł na Kościelec, to odpowie, że w ogóle nie warto drapać się tam tak mozolnie (to wejście jest rzeczywiście bardzo trudne), aby zobaczyć tych parę szczytów.

Ale przed naszymi oczami roztacza się z Kościelca cudowny widok. Widać grupę nad Morskim Okiem, to jest: Rysy, Mięguszowiecki itd., widać śliczną dolinę Pięciu Stawów Polskich, widać nawet niektóre szczyty po słowackiej stronie, jak Krywań i Jaworowe.

Pod nami przepaść, a na dnie jej błyszczy się granatowym odblaskiem Czarny Staw.

Jest tak ładnie, że się po prostu nie chce schodzić. Obserwować można z prawdziwą przyjemnością bujną i dziką przyrodę górską, nietkniętą ręką ludzką; groźne przepaście i szczeliny, nagie i niedostępne szczyty. W dolinach i na halach rosną smereki, dalej jeszcze spotyka się kosówkę, a wyżej nie, tylko granitowe skały, lub martwe dolinki zawalone ogromnymi „maliniakami“. Ma się wrażenie, że z czubka tych niebotycznych gór można do nieba sięgnąć. Przyroda górska jest ochraniana teraz, ale ludzie nie wszyscy i nie zawsze stosują się do przepisów i części gór bardziej uczęszczane są literalnie zaśmiecone.

Ludzie tacy nie rozumieją widocznie i nie odczuwają majestatycznej powagi i piękna gór, jeżeli psują ich harmonijną ciszę krzykami a widoki śmieciami.

Bardziej już potrafią ludzie uszanować rośliny górskie.

Wracamy już po zachodzie słońca. Jest cicho. Tak cicho, że ludzie jakby jedną myślą wiedzeni milkną, wsłuchując się w tę wielką ciszę gór.

Łańcuchy gór zasłaniają się jakby mgiełką leciuchną, różową, która stopniowo zamienia się na niebieską i fioletową, a z dolin podnoszą się białe tumany, idą coraz wyżej i wyżej, czołgając się powoli.

* * *

Górale to naród dziki i niesforny, teraz już znacznie ucywilizowany. Dawniej dochodziło do tego. że w kościele nie zdejmowali kapeluszy, a fajki zapalali sobie od świec na ołtarzu podczas mszy.

Pierwszy pracę na tym polu zaczął ks. Stolarczyk, który też ich w końcu ucywilizował i miał na cały lud wielki wpływ. Teraz grób jego jest na starym cmentarzu między zasłużonymi.

Wśród starych rodzin góralskich zachowała się doskonale dawna tradycja i pamięć Chałubińskiego jest tam żywa.

Dawniej, gdy on przyjeżdżał do Zakopanego, to do Poronina wyjeżdżała delegacja z banderą góralską i przyjmowała „Jego Wielgość" jak go nazywali, jak udzielnego księcia.

Nieodłącznie z Chałubińskim idzie pamięć o Sabale i jego bajkach jak np. o niedźwiedziu „co pasł się od Murania i Hawrania, aż po Osobitą" i o śmierci.

W bogatych chatach sprzęty są bardzo ładnie rzeźbione i doskonale utrzymane w stylu.

Ubiory górali są bardzo barwne, co można szczególnie zauważyć, w niedzielę, gdy idą do kościoła.

Co krok spotyka się górali ubranych w długie samodziałowe, obcisłe spodnie z ładnie haftowanymi „parzenicami", w białych koszulach i wełnianych guniach, również haftowanych.

Kobiety ubrane są w kolorowe, wzorzyste spódnice i barwne, duże chustki na głowach.

Zachowują górale swoje dawne zwyczaje, związane z ważniejszymi momentami życia, jak np. wesele, sobótki itp.

Ujemną stroną jest zakorzenione silnie pijaństwo, najczęściej z braku zajęcia, gdyż charakterystyczną cechą górala jest to, że nie lubi on prowadzić osiadłego życia, tylko ciągle by się przenosił z miejsca na miejsce i szukał nowego zajęcia. Górale to duchy wolne.

* * *

Górale i góry to dwa zupełnie odrębne od innych a zżyte ze sobą elementy, które trzeba poznać i do których trzeba przywyknąć, aby móc pokochać te dzikie, niedostępne, niebotyczne turnie i również dziki i nieokiełznany naród gór.

PROPORCJE GEOGRAFICZNE

FIGLEWICZ ZOFIA (Kraków)

Bilans urbanistyki w województwie krakowskim za lata 1880 — 1931

Wskaźnikiem stosunków ludnościowych są ruchy migracyjne i ruch naturalny, wyrażone wspólnie w przyroście względnie ubytku rzeczywistym ludności. W praktyce orientujemy się najczęściej w zagadnieniach ludnościowych ruchem rzeczywistym. Dlatego też rozwój umiastowienia w województwie krakowskim oparto o kryterium ruchu rzeczywistego.

Z liczby 54 miast i miasteczek w województwie krakowskim przypada jedno na ponad 200 000 mieszkańców tj. na stolicę wojew. Kraków. Dwa liczące od 100 — 25 tys. mieszkańców (Tarnów i N. Sącz), ośm od 25 — 10 tys. mieszkańców, 13 miejscowości od 5 — 2 tys. i 26 poniżej 2 tysięcy mieszkańców.

Rozwój przyrostu rzeczywistego ludności w wyżej wymienionych miejscowościach, różnej kategorii wielkościowej, przedstawia się następująco za okres półwieku (1880—1931).

Najjaskrawiej zarysował się dla Zakopanego, gdzie rzeczywisty przyrost ludności przedstawia 545 proc. To piękny przykład, nad wyraz silnego wpływu atrakcyjnego turyzmu. Dopiero w drugiej połowie 19 wieku zainteresowano się ruchem turystycznym „taternictwem". W człowieku obudziły się dążności do poznania i zbliżenia się do przyrody górskiej. Cywilizacja w szybkim tempie idąc naprzód, czasy bezpośrednio przed wojną światową i po wojnie, wpłynęły na nadmierną nerwowość i chorobliwość społeczeństwa. Człowiek instynktownie szukał wyładowania, bądź uspokojenia, na tle przyrody. Tatry do tego celu bardzo się nadawały. Na ten to okres przypada rozwój Zakopanego, najpopularniejszego dziś w Polsce ośrodka klimatycznego i turystycznego. Duże na tym polu zasługi położył śp. dr Chałubiński, który pierwszy zrozumiał wartość Tatr dla higieny ciała i ducha. Z końcem 19 wieku Zakopane połączono linią kolejową z szlakiem kolei transwersalnej. Dziś pozostaje w fazie silnego rozwoju dzięki atrakcji turyzmu i propagandzie tegoż ruchu w kraju i za granicą.

Progresja procentowa wyrażona od 150—300 przypada na miasta: Chrzanów, Jaworzno, Szczakowa, Trzebinia, Biała, Oświęcim, Kraków, Skawina, Myślenice, Jordanów, N. Sącz, Jasło, Dębica.

Cztery pierwsze skupienia, które cechuje przemysł ciężki, wyrosły na podłożu geologicznym, dzięki rozwojowi ekonomicznemu. Biała w województwie krakowskim wybija się na czoło przemysłu tkackiego i tekstylnego, który w tym miejscu, podobnie jak w Andrychowie, drogą ewolucji, od rzemiosł przez kilka stopni — przemysł domowy, chałupniczy — doszedł do wielkich manufaktur.

Oświęcim leży na jednym ze szlaków dawnych, naturalnych przejść podnórza Pogórza Karpackiego w dolinie Wisły. Oświęcim jest węzłem kolejowym i ośrodkiem handlowym.

Kraków, największy terytorialnie i pod względem ilości mieszkańców, położony na wielkiej drodze dziejowego ruchu, miasto historyczne, przemysłowe, handlowe, centrum wysokiego życia umysłowego i naukowego, turystyczne, dziś widnieje na mapach turystycznych świata, nic dziwnego, że się tak rozwinęło w ciągu okresu 50-ciolecia.

Skawina jest miejscowością przemysłową. Myślenice, Jordanów, to letniska pogórskie.

N. Sącz jest miastem historycznym, leżącym na przejściu naturalnym z Polski do Czechosłowacji i Węgier — największym na Podhalu w obniżeniu podgórskim. Ponieważ Pogórze i Góry były pierwotnie puszczą leśną, dlatego większe obniżenia śródgórskie, doliny, kotliny, były centrami skupienia ludności. Tym tłumaczy się dawne znaczenie miast takich, jak N. Sącz, Biecz. Dziś N. Sącz jest miastem uprzemysłowionym (duże warsztaty kolejowe) i zarazem rynkiem handlowym.

Jasło to ośrodek przemysłu, a raczej administracji przemysłu, górnictwa, centrum inwazji kapitału obcego.

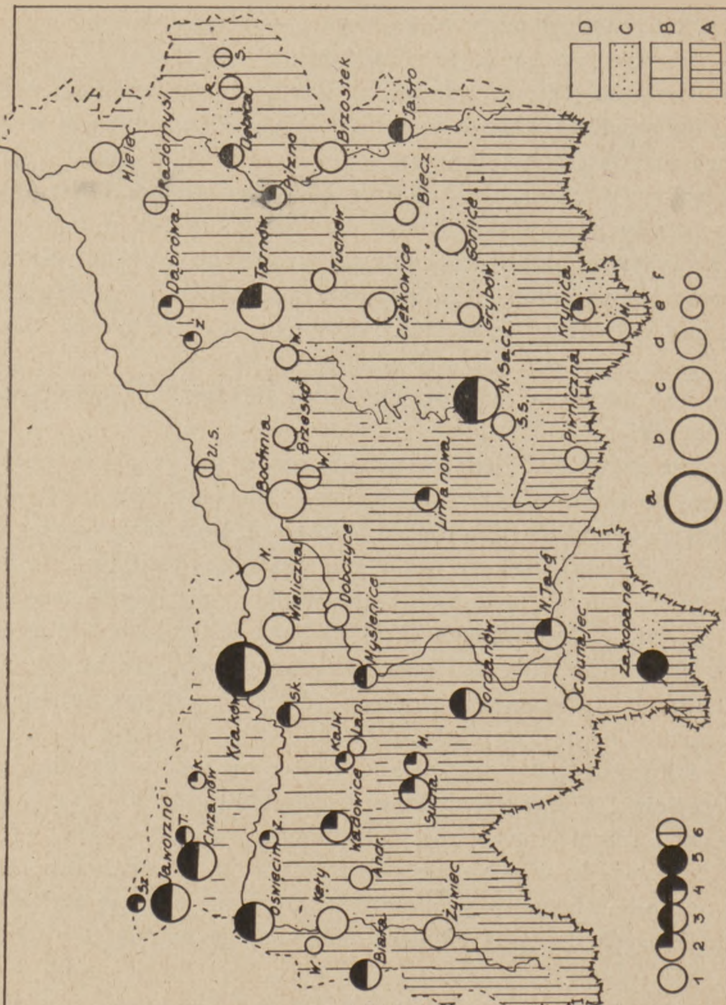
Dębica na Powiślu przy drodze kolei żelaznej, leży w bramie naturalnego przejścia z Podgórza na Powiśle (handel).

Do kategorii miast o progresji zaludnienia od 150—300% można zaliczyć Krynicę-uzdrowisko, perłę naszych wód mineralnych, która celowo i z nakładem kosztów wielkich rozbudowano do poziomu uzdrowisk zagranicznych. Rozwój jej przypada właśnie na ostatnie dziesięciolecie.

Przyrost rzeczywisty w granicach między 50 a 150 procent notujemy w 13 miejscowościach (Krzeszowice, Wadowice, Andrychów, Kalwaria, Zator, Sucha, Maków, Limanowa, Pilzno, Dąbrowa, Żabno, Tarnów), Z wyjątkiem Tarnowa są to miejscowości nie przekraczające 5—10 tys. mieszkańców, ośrodki fabryczne, letniskowe, handlowe, na dawnych szlakach historycznych przejść naturalnych.

Od 0—50% przyrost zanotowano w 22 wypadkach. Są to miasteczka w których ten nie wielki przyrost tłumaczy się przyczynami natury

fizjograficznej lub gospodarczej; upadają na korzyść innych np. Stary Sącz i Wojnicz.



Ryc. 55. Mapa rozwoju urbanizacji województwa krakowskiego za lata 1880—1931.

R e g r e s j e m i a s t mamy w 5-ciu wypadkach a mianowicie: Ujście Solne, Wiśnicz Nowy, Radomyśl, Ropczyce, Sędziszów. 3 pierwsze nie leżą przy linii kolei żelaznej. Ropczyce i Sędziszów upadły na korzyść Dębicy.

% przyrostu względnie ubytku zaludnienia	ilość miast
ponad 500%	1
500—300%	1
150—300%	12
50—150%	13
0— 50%	22
regresja	5
razem	54

Bilans ruchu rzeczywistego w miastach w granicy administracyjnej województwa krakowskiego za okres ostatniego 50-ciolecia wykazał saldo dodatnie. Z 54 miast i miasteczek progresją objęte jest 49 a w 5 tylko wypadkach wykazano ubytek.

Źródła:

Special Ort-repertorium etc. (Wykaz szczegółowy miejsc w Galicji) Wien, 1886.

Special Ort-repertorium etc. (Wykaz szczegółowy miejsc w Galicji) Wien, 1893.

Skorowidz Rzeczypospolitej Polskiej. Statystyka Polski — seria B, z. 8, część III, woj. południowe. Warszawa, 1933.

LEGENDA DO MAPY.

na str. 136

1. Mniej niż 50% przyrostu rzeczywistego ludności.
2. Od 50—150% przyrostu rzeczywistego ludności.
3. Od 150—300% przyrostu rzeczywistego ludności.
4. Od 300—500% przyrostu rzeczywistego ludności.
5. Ponad 500% przyrostu rzeczywistego ludności.
6. Regresja.

Wielkość miast według stanu administracyjnego z dnia 1 stycznia 1931 roku.

a. Kraków — z końcem r. 1937 — 242.084 mieszkańców
b. 25—100.000 mieszkańców
c. 10—25.000 mieszkańców
d. 5—10.000 mieszkańców
e. 2—5.000 mieszkańców
f. poniżej 2.000 mieszkańców.



V. NAUKOWY ZJAZD ORGANIZOWANY PRZEZ INSTYTUT BAŁTYCKI. Ruchliwy Instytut Bałtycki w Gdyni urządził swój tegoroczny Zjazd, piąty skolei w dniach 7 i 8 maja we Lwowie. Tematem jego były tak aktualne obecnie „Zagadnienie Gdyni i Gdańska jako portów polskiego obszaru celnego".

W zebraniu inauguracyjnym wziął udział wojewoda lwowski Biłyk, kurator Lwowskiego Okr. Szkolnego Kupczyński, komisarz gen. R. P. w Gdańsku Chodacki i inni przedstawiciele władz. Uczestniczyli w Zjeździe urzędnicy portu Gdańskiego i Ministerstwa Przemysłu i Handlu; wśród uczestników można było zauważyć gości z Gdańska i przedstawicieli lwowskiego świata naukowego.

Pierwszy dzień Zjazdu (7 maja) wypełniło zebranie inauguracyjne (o godzinie 10) w Auli Uniwersytetu Lwowskiego i zebranie naukowe (o godz. 16). W pierwszym miał miejsce — po zwykłych przemówieniach powitalnych, wyborze Prezydium itd. — odczyt prof. Edwarda Lipińskiego, dyr. Instytutu Badania Koniunktur Gospodarczych i Cen, pt.: „Porty morskie jako narzędzia polityki gospodarczej".

Na zebraniu naukowym wygłosił referat generalny pt.: „Gdynia jako ośrodek handlu morskiego" p. Czesław Klarner, b. minister przemysłu i handlu, tudzież skarbu, obecnie prezes Izb Przemysłowo-Handlowych.

Organizacja Zjazdu była wzorowana na współczesnych kongresach międzynarodowych. Ze zgłoszonych referatów wygłaszano tylko niektóre, grupując je w ogóle w kilka referatów generalnych, opracowanych i wygłaszanych przez osoby powołane do tego przez Komitet Organizacyjny. Niezależnie od tego otrzymali uczestnicy Zjazdu drukowane odbitki poszczególnych referatów.

Program dnia zakończył raut, wydany przez Izbę Przemysłowo-Handlową.

W drugim dniu Zjazdu (8 maja 1939) odbyły się dwa posiedzenia: o godz 9, drugie zebranie naukowe z referatem generalnym Adama Rudzkiego, dyrektora Handlowego Portu i Dróg Wodnych w Gdańsku, i popołudniowe zebranie sprawozdawczo-administracyjne.

W referacie swym, zatytułowanym „Porty Polskie Gdynia i Gdańsk jako węzeł komunikacyjny", zwrócił dyr. Rudzki uwagę na dostęp naszych portów od strony lądu, inwestycje poczynione w nich, zwłaszcza jeżeli chodzi o komunikację z wnętrzem kraju i postulaty z tymi kwestiami związane. Sprawa stosunku obu portów do siebie, kwestia koordynacji ich interesów, a wreszcie połączenie z zapleczem, oto najważniejsze punkty interesującego referatu.

Następnie zabrali głos p. Miłobędzki, Korolkiewicz, Szyszkowski, Górkowa, Ołtarzewski i przewodniczący Zjazdu prof. St. Pawłowski, bądźto rozwijając poszczególne punkty referatu generalnego, bądźto omawiając zagadnienia ściśle z nim związane, jak np. Górkowa, lub polemizując z przedmówcami.

Na zebraniu sprawozdawczym uchwalono dziewięć wniosków, dotyczyły one Gdańska („Polska nigdy nie zrezygnuje z najistotniejszych swoich praw na terenie W. M. Gdańska"), naszych najpilniejszych potrzeb portowych, rozwoju aparatu handlowego w Gdyni, regulacji Wisły, akwizycji i tranzytu, badań nad zagadnieniami żeglugi morskiej itd.

Następny Zjazd uchwalono poświęcić regionowi bałtyckiemu a zwłaszcza węzłom historyczno-kulturalnym i gospodarczym, wiążącym go z Polską. Odpowiednio do tego tematu postanowiono zaprosić do Komitetu Organizacyjnego przedstawicieli instytucyj naukowych zajmujących się tymi kwestiami.

Zakończył Zjazd interesujący wykład prof. dra Zierhoffera na temat „Rola Lwowa na dziale wód bałtycko-czarnomorskim".

M. W.

WYSTAWA FOTOGRAFIKI KRZEMIEŃCA. Zrzeszenie b. wychowanków Liceum Krzemienieckiego („Ośrodek Lwowski") urządziło z okazji obchodu 130-letniej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego we Lwowie w Muzeum Przemysłu Artystycznego (Hetmańska 20) wystawę fotograficzną pt.: „Krzemieniec, miasto rodzinne J. Słowackiego w fotografice".

Wystawa połączona jest z odczytami. Pierwszy odczyt pt.: „Krzemieniec, ośrodek kultury" wygłosił dnia 7 bm. kurator Liceum Krzemienieckiego inż. Stanisław Czarnocki. Następny pt.: „Piękno Krzemieńca", ilustrowany przeźroczami i filmem, wygłosił dnia 13 bm. prof. St. Sheybal, ostatni wreszcie „Wołyń, kraina niespodzianek" wygłosił prof. Fr. Mączak, 18 maja br. Oprócz odczytów odbędzie się jeszcze wieczór literacki. Wystawa będzie otwarta do 21 maja br.

M. W.

BUDOWA ZAKŁADU HYDRO-ELEKTRYCZNEGO W TURNISZKACH NA RZECE WILII. W jesieni 1938 r. przystąpiono do prac nad budową zakładu wodno-elektrycznego w Turniszkach pod Wilnem. Zapora wodna spowoduje spiętrzenie wody w Wilii o 13 m. Roczna produkcja energii elektrycznej będzie mogła osiągnąć 86 milionów KWh, tj. około 60% wydajności zakładu wodno-elektrycznego w Rożnowie.

OTWARCIE LINII KOLEJOWEJ CZĘSTOCHOWA — SIEMKOWICE. W kwietniu br. oddano do użytku nową linię kolejową Częstochowa — Siemkowice, stwarzającą dogodne połączenie Zagłębia Dąbrowskiego z magistralą węglową Śląsk — Gdynia.

NOWA POLSKA LINIA LOTNICZA: WARSZAWA — KOPENHAGA obsługiwana przez „Lot", zainaugurowaną została z dniem 15 maja br. Trasa wiedzie przez Gdańsk i Gdynię.

POWIĘKSZENIE FABRYKI METALURGICZNEJ W CENTR. OKR. PRZEM. Fabryka metalurgiczna w Gorzycach pod Sandomierzem zwiększa ostatnio bez przerwy stan zatrudnienia i swoją produkcję. Tak np. w ciągu lutego i marca br. ilość robotników zatrudnionych w fabryce powiększyła się o 25%.

ZMIANY W PRZEMYŚLE LITWY PO STRACIE KŁAJPEDY. Ośrodek przemysłu włókienniczego w Płungianach ulegnie wydatnej rozbudowie i zastąpi utracone wraz z Kłajpedą fabryki tkackie, które przeszły do rąk niemieckich. W pobliżu Kowna powstanie fabryka fornierów. Wszystkie fabryki

litewskie fornierów znajdowały się dotąd na obszarze kłajpedzkim i po zmianie granicy zostały stracone dla gospodarki tego państwa.

NOWA LINIA KOLEJOWA W RUMUNII. W grudniu 1938 r. została oddana do użytku nowa linia kolejowa Ilva Mica — Dorna-Vatra długości 62 km, łącząca Siedmiogród z Bukowiną.

WYDOBYCIE ROPY NAFTOWEJ W ALBANII. Włochy siłą wcielając królestwo Albanii do swego organizmu politycznego i gospodarczego, miały na uwadze zdobycie panowania nad cieśniną Otranto, oraz wyłączności w gospodarczej eksploatacji tego górskiego kraju. Jedynym eksploatowanym na większą skalę bogactwem górniczym Albanii jest ropa naftowa. Eksploatacja ropy w r. 1931 wyniosła w Albanii 25 tys. ton, w 1936 — 52 tys. ton, w 1937 — 70 tys. ton i w 1938 — 100 tys. ton.

POLSCY ROBOTNICY ROLNI NA ŁOTWIE. Przez stację graniczną Turmont przejeżdżają już pierwsze partie polskich robotników rolnych, którzy udają się na sezonową pracę do Łotwy. W bieżącym roku ma być zaangażowanych z Polski 35.000 robotników.

EMIGRACJA DO FRANCJI W R. 1937 i 1938. Jak wiemy, Francja należy do tych państw, które potrzebując rąk do pracy wchłoną nadmiar ludności innych narodowości. Dotychczas było tak, że emigracja stale przeważała nad imigracją. Dopiero dane za ostatni kwartał 1938 roku zdają się wskazywać, że proces przypływu elementu obcego do Francji został częściowo zahamowany oraz że odpływ dawnych emigrantów wzrósł. Oto kiedy w IV kwartale 1937 r. przybyło 14.666 osób — a wyemigrowało 10.336, to w tym samym okresie 1938 r. przybyło 13.672, a ubyło 10.553 osób.

Spośród narodowości dostarczających największy kontyngent uchodźctwa (Włosi, Czesi, Słowacy, Belgowie Polacy) jedynie Belgowie wykazują stale nadwyżkę emigracji nad imigracją. Jeżeli przyjrzymy się danym za rok 1937 odnoszącym się imigracji — to zauważymy, że na 67,905 przybyszów do Francji przypada na: Belgów 37,3%, Włochów 5,4%, Czechów i Słowaków 7,2%, Polaków 35,5%, innych narodowości 14,6%. Jak widzimy, największą liczbę emigrantów dostarcza Belgia i Polska.

Gdy Belgowie znajdują zajęcie w przemyśle (63,4% ogółu emigr.), to Polacy są właściwie kierowani do rolnictwa (93,2% ogółu emigr. polskiej w r. 1937).

Ciekawie przedstawia się bilans migracyjny wspomnianych na wstępie narodowości. Jeżeli przyjmiemy przypływ każdej poszczególnej nacji do Francji za 100, to Belgów ubyło 34%, Włochów 63%, Polaków 12%, Czechów i Słowaków 85. Jak z tego pobieżnego zestawienia widzimy, Polacy stanowią poważny element narodowościowy we Francji. W. K.

WIELKIE ZAMÓWIENIA PERSJI W HUTACH POLSKICH. Huty polskie podpisały umowę o dostawę do Persji (Iranu) 25 tys. ton szyn i akcesoriów kolejowych, wartości 7 milionów zł.

POLACY w MEKSYKU. Jeden z Polaków, który dłuższy czas spędził w Meksyku, oblicza ilość Polaków osiadłych w tym kraju na 30.000. Z tej liczby tylko 7.000—8.000 jest z pochodzenia Polakami, reszta zaś to tylko obywatele polscy, obcy nam pochodzeniem często i rasą. Polacy przybyli do Meksyku

w przewadze w okresie 1860 — 1920 r., choć część osiadła tam i później. 50% Polaków osiadłych w Meksyku to rolnicy, uprawiający kawę, trzcinę cukrową, ryż, wanilię, kukurydzę, pszenicę, bawełnę, tytoń i winną latorośl. Głównym ośrodkiem rolników jest miasto Merida na półwyspie Jukatan. 20% Polaków przypada na inteligencję, inżynierów, prawników, lekarzy, urzędników i wojskowych. Inteligencja rekrutuje się przeważnie już z ludzi młodych, z potomków kolonistów. Najwięcej inteligencji polskiej grupuje się w Mexico-City, w Monterey, St. Luis i Guadalajara. Drugie 20% składa się z hodowców bydła, zamieszkując tereny górzyste, prowadząc ciężkie życie w terenach prawie pustych, dzikich, gdzie brak opieki ze strony państwa, a bandy rzezimieszków trzymają w terrorze całe okolice. Pozostałe 10% Polaków stanowią robotnicy rolni, fabryczni i górnicy.

W roku 1931 założono w Meridzie Towarzystwo Polonii Meksykańskiej. Towarzystwo to utrzymuje w Meridzie szkołę polską, do której uczęszczają dzieci kolonistów.



JÓZEF STAŚKO: **Huculskim szlakiem.** Chorzów, 1938. Stron 61, mapa i 15 fotografij i rysunków. Cena 1 zł 50 gr. (Nakł. autora. Siemianowce Śl. Gimn. Państwowe).

Książeczka ta nadaje się na lekturę geograficzną do kl. I. gimn., a może przydać się bardzo dla wszystkich młodych turystów udających się na Huculszczyznę oraz zainteresuje tych wszystkich, którzy już poznali ten uroczy zakątek naszych Karpat. Autor opisuje w formie wędrówki krajobraz, osadnictwo, życie i zwyczaje Hucułów, a także ich oryginalną sztukę i artyzm. Przed naszymi oczyma ukazuje się ten niezwykły świat, etnograficznie tak odrębny od reszty Polski, owa wyspa etniczna zachowana od wieków zdala od dróg cywilizacji, a towarzyszy nam pierwotność i urok niezrównany tej ziemi mało jeszcze znanej szerokim rzeczom polskich turystów.

Kto przeczyta „Huculskim szlakiem", zapozna się także z możliwościami zwiedzania Huculszczyzny, którą postara się zobaczyć podczas najbliższych wakacji.

W szkole odda ta lektura wielką usługę nauczycielstwu i uczniom.

JÓZEF STAŚKO: **Wielkie miasto przemysłowo-handlowe.** Katowice, 1938, stron 75. Cena 1 zł 50 gr. (Nakł. autora. Siemianowice Śl. Gimn. Państw.).

Ta niewielka ale treściwa praca oparta na przytoczonej bogatej literaturze przedstawia nam ważne i aktualne dziś zagadnienie urbanizacji kraju i wzrostu wielkich miast, głównie z powodu rozwoju przemysłu i handlu. Podano tu podstawowe wiadomości z geografii miast oraz opisano poszczególne typy miast w Ameryce i w Europie. Następnie są opisane różne miasta i ich rozwój oraz możliwości na przyszłość. Z miast polskich są opisane Warszawa, Łódź,

Gdynia, Sosnowiec, Katowice i Chorzów. Rozdział o miastach w C. O. P-ie zamyka tę książkę, która może służyć także jako lektura podstawowa w kl. I. naszych liceów przy rozwijaniu lekcyj w zagadnieniach życia współczesnego.

TADEUSZ ŁOPALEWSKI: **Między Niemnem a Dźwiną.** (Ziemia Wileńska i Nowogródzka). „Cuda Polski", R. Wegner, Poznań, str. 236 i mapka.

„Cuda Polski" mają już swoją ustaloną szatę zewnętrzną, jej też zawdzięczają w dużej mierze swe powodzenie. Książka Łopalewskiego nie różni się pod tym względem od poprzednich, ma też ten sam na ogół zakres treści. Zabytki i pomniki architektury, piękno krajobrazu, język i wiara, zwyczaje i obyczaje, zagadnienia gospodarcze. Na tym tle wspomnienia historii. Napisana językiem barwnym, swobodnym, w którym przebija umiłowanie tej ziemi, puszcz i jezior, ziemi naszych Wielkich.

ST. WASYLEWSKI: **Na Śląsku Opolskim.** Pamiętnik Inst. Śląsk. T. III. Kawice 1937, str. 354.

We wstępie zaznajamia nas autor za stanem liczebnym Polaków na Śląsku Opolskim, Polaków najstarszych z wieku, najmłodszych z uświadomienia. Według urzęd. statystyki niemieckiej z r. 1934, na Śląsku Opolskim w r. 1925 na ogólną liczbę 1,372.000 dusz — 582,455 osób przyznało się do polskiego języka macierzystego. Wielu różnymi względami zmuszonych było wpisać się do rubryki niemieckiej. Nowych danych niemieckich brak, biorąc jednak wielki przyrost naturalny Śląska Opolskiego pod uwagę (10,8‰), możemy obecną liczbę Polaków określić na z górą 600.000. Jak Niemcy oceniają tę liczbę, wiemy wszyscy. Dalsze rozdziały — to dzieje tej prastarej ziemi piastowskiej od czasów zamierzchłych aż po dni ostatnie, dni, w których z udręki prześladowania, z walki o swoje, z rosnącej woli odporu zrodziło się 5 przykazań Polaka za granicą i mocne hasło „i nie ustaniem w walce". A walka to ciężka i twarda, jak ciężki i twardy jest but teutoński i jak twardy a nieustępliwy jest lud śląski.

Poznajemy też samego Ślązaka opolskiego, jego strój, obrzędy, pieśni, budownictwo, organizacje, sposób i warunki bytowania. Liczne ilustracje doskonale uzupełniają tekst, a „informacje bibliograficzne" umożliwiają głębsze wglądnięcie w zagadnienie śląskie.

ANTONI ALEKSANDROWICZ: **Mandżuria, jej przeszłość, teraźniejszość, kraj i ludzie.** Warszawa 1937. Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska", str. 172, ilustracje, mapa.

Jakkolwiek codziennie prawie dochodzą nas wieści z Dalekiego Wschodu o coraz to nowych incydentach na granicach Mandżurii, szerszy ogół mało albo nic nie wie otym olbrzymim kraju, pozostającym pod „opieką" małej Japonii. „Mandżuria" Aleksandrowicza ma tę zaletę, że napisana jest łatwo, popularnie i obejmuje wszystkie najważniejsze zagadnienia, jakie nasuwają się przy ogólnym opisie kraju, a więc: położenie geograficzne, historia, ludność, bogactwa naturalne, życie gospodarcze, przemysł, hadel, górnictwo, komunikacja. Bardziej szczegółowo omówił autor dzieje kolonii polskiej i możliwości handlowe między Polską a Mandżurią. W. W.

Wiadomości Muzeum Ziemi. Rok 1938. Warszawa — Wilno. Nr 2/3.

Kwartalnik Towarzystwa Muzeum Ziemi poświęcony krzewieniu nauki o ziemi w Polsce. Wychodzi jako dalszy ciąg „Służby nauce". Pismo popularne, za-

sługujące szczerze na poparcie ze względu na wielkie znaczenie geologii i nauk pokrewnych dla gospodarki narodowej. Nr. 2/3 zawiera: T. Turkowski: Aleksander Czekanowski (1833 — 1876); — E. Passendorfer: Znaczenie kształcące i wychowawcze nauk o ziemi; — Rzut oka na dotychczasową działalność Tow. Muz. Ziemi; — W. Pożaryski: Dział nauki o ziemi projektowany w Muzeum Techniki i Przemysłu w Warszawie; — J. Kardymowiczowa: Kaolin, białe bogactwo Wołynia; — Wyniki Konkursu P. M. Z.; — Kronika; — Z piśmiennictwa; — Wesołe i smutne zarazem.



Suez. Dzieje budowy kanału Sueskiego, przez Ferdynanda de Lessepsa. Sceny malownicze, gigantyczna praca wydobyta fotomontażami filmowymi, poza tym pewne oddanie tła wypadków we Francji i Anglii pod względem kostiumologicznym i obyczajowym.

Wartością główną filmu są sceny potężnego samumu, który poprzedzony gromadną ucieczką ptactwa i wzmagającą się szybkością niesionego pyłu, zamienia w potworny ruch żywiołu, zbierając piasek i niosąc go grubym całunem, zdziera namioty, łamie wszystko co napotyka (olbrzymie zbiorniki i drągi nad kanałem wywraca, łamie i niesie jak słomę).

Czarny słup rozszerzający się ku górze, ośrodek samumu, zbliżający się, wprowadza ludzi w przerażenie, ucieczkę bezładną, przymocowywanie się do pni głęboko wbijanych w ziemię, a schwytanych przez potęgę żywiołu ginących od odłamów niesionych przez burzę lub duszonych piaskiem i rozbijanych porzuceniu w powietrze.

Dantejski obraz — odszukiwanie licznych ofiar gwałtownej śmierci. Film, który mówi o potędze (realizacja dzieła Kanału Sueskiego mimo wielokrotnych przeszkód) i nicości (wobec żywiołu przyrody) człowieka.

Reżyser Allan Dwan dał nam mocny i wierny obraz żywiołu, film zaś sam słaby. S. Leg.

Droga w nieznane. Film rozgrywa się na morzach południowych. Gwoździem jest scena tajfunu. Kilka bajecznych scen kolorowych z wybrzeży wysp. Film zresztą cały kolorowy z poprawną grą artystów, warty obejrzenia. S. Leg.

Ku północy. Reportaż z zajmowania przez Węgrów, przyznanych im terytoriów w południowej Czechosłowacji, w listopadzie ub. r.

Oprócz scen powitania wojska przez ludność (co było założeniem tego filmu) widzimy szereg zdjęć zabytków i krajobrazu dzisiejszych północnych Węgier. Mimo na ogół niesprzyjających warunków atmosferycznych, zdołano sfilmować szereg zameczków, warownych kościołów, uroczych miasteczek podgórskich na fałdującym się ku północy, podnoszącym od równiny krajobrazie.

Przypadkowo — film ten — utrwalił szereg atrakcyj turystycznych tej przepięknej starej ziemi węgierskiej, tętniącej nie raz naszą wspólną historią. Wę-

gry warto odwiedzić dla ich uroku, nasycić się pięknym, jakże przypominającym w partiach podgórskich nasze polskie beskidskie strony. S. Leg.

Piękno Francji. (Le Rouergue, La Provence, Images de Savoie). Film turystyczny ma za zadanie ukazać tereny turystyczne, celem zaznajomienia z nimi i zachęcenia do odwiedzenia ich. Cel ten osiąga się za pomocą krótkometrażówek chętnie przez publiczność przyjmowanych obok filmu anegdotycznego długometrażowca.

Krótkometrażówka turystyczna francuska stoi bardzo wysoko pod względem zdjęć artystycznych — w których zwrócono uwagę na światło — jak też montaż. We wszystkich trzech krótkometrażówkach pokazano szereg zamkniętych i można by powiedzieć wyczerpanych do ostatka, jeśli chodzi o zagadnienia podania danego tematu w sposób reportażowy, fragmentów, które łączono w ciąg dający jako wynik pogląd syntetyczny na daną krainę geograficzną — jej krajobraz, zabytki budownictwa, przemysłu ludowego, stroje, zwyczaje.

J. C. Bernard stworzył film z masywu centralnego (Le Rouergue), Stefan Nadoux z obszarów alpejskich, zaś A. Abonneau z Prowansji.

Film z Prowansji przynosi ruiny zabytków rzymskich, akwaduktów, cyrków, świątyń oraz rekonstrukcję (model) miasta rzymskiego. Metodą porównań fragmentów do dziś zachowanych z modelem zaznajomiono wyczerpująco z monumentalnym budownictwem rzymskim. Film ten może być znakomitą pomocą szkolną, filmowo przypomina wstęp do Olimpiady Leni Riefenstahl.

S. Legeżyński.

Drukarnia B. Połonieckiego we Lwowie. Redaktor: Dr Adam Malicki